

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



BELUDŹYSI W POCHODZIE WOJENNYM  
Z wystawy „Związku artystów” w Albert Hall w Londynie

R. D. MACKENZIE

## HENRYK MOŚCICKI: ŁUKASIŃSKI.\*)

Postać tragiczna, jeden z szeregu zapomnianych, a przecie wiernych sług narodu, imię jego nie jaśnieje na kartach historii tęczowymi blaski zasługi wojskowej ani nawet obywatelskiej; pamięć o Łukasimskim zaginęła, zatarta długim bolesnym łańcuchem wydarzeń dziejowych. Dziecię Starego Miasta, które tyłu przedtem i potem cichych wydało bohaterów, skromny major Łukasimski nie wysuwał się nigdy na czoło widnej i hałaśliwej roboty publicznej, z umysłu pozostawał w cieniu, pracując nie dla rozgłosu, lecz z poczucia narodowego obowiązku, który był dlań jedynym celem życia, jedyną radością i troską. W tej pracy zginął zapomniany, jak nieznaną więzienną jego mogiła. A jednak życie tego człowieka, tak ściśle związane z losem społeczeństwa, dla którego żył i dośmiertne znosił cierpienia, godne było pomnika, wzniesionego w sercach i pamięci rodaków. Takim pomnikiem, trwalszym od śpiżu i marmuru, jest książka o Łukasimskim, książka, skreślona piórem znakomitego historyka, owiana serdecznym umiłowaniem nie tylko samej osoby bohatera-męczennika, lecz i sprawy, którą tenże tak ukochał.

Nie możemy w niniejszym artykule

uwzględnić wszystkich kwestyi, poruszonych w cennej pracy prof. Askenazego, chcemy jedynie zwrócić uwagę czytającego i myślącego ogółu na niektóre momenty z tego szerokiego tła historycznego, na którym uwypukla się cicha a niepożyta postać majora. To podłoże dziejowe to cała niemal historia konstytucyjnego Królestwa Polskiego, a poczęści i autokratycznej Rosyi. I mógłby ktoś uczynić zarzut autorowi książki o Łukasimskim, iż zbyt wiele miejsca poświęcił w swej pracy rozważaniu politycznej przeszłości kraju, że zbyt mnogocią szczegółów przysłonił osobę Łukasimskiego. Lecz byłby to zarzut najzupełniej nietrafny. Teoria środowiska, owego *milieu* Taine'a, ma poważną rację bytu, zwłaszcza w sferze zjawisk historycznych. W zewnętrznych wpływach, w warunkach rozwoju danej jednostki doszukiwać się należy niejednej myśli twórczej, i odwrotnie życie pojedynczego nawet człowieka jest nieraz tylko odbiciem pewnych stron jego otoczenia; dlatego słusznie mówi o Łukasimskim jego biograf, iż „był on w usiłowaniach swoich i cierpieniu wykładnikiem pewnych mniej znanych, a nader doniosłych stron wewnętrznych bytowania Królestwa Polskiego”. Te strony uwzględnić,

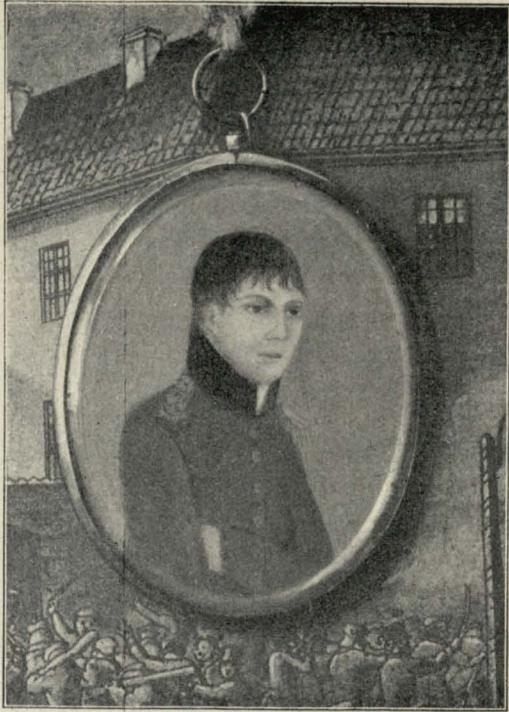
znajomość ich pogłębić będzie zadaniem historyka.

Nie zwykłą zatem wiązką danych biograficznych jest ostatnia praca autora „Księcia Józefa”. Z właściwą sobie intuicyjną przenikliwością dociera prof. Askenazy zarówno do tajni kancelaryi dyplomatycznych i policyjnych, jak i preziera do głębi dusze ludzi pozornie wielkich, w gruncie atoli małych charakterem, częstokroć moralnie niskich lub wprost podłych.

Z drugiej strony pod piórem niepospolitego znawcy przeszłości i bystrego psychologa wkrzesają żywe postacie działaczy narodowych; tajemne ich usiłowania, pokryte milczeniem więzień i zapomnianych grobów, ujawnione zostają w pełnym świetle prawdy historycznej.

Niezależnie od tych charakterystyk pojedynczych ludzi, szeregowanych w akcji, czy spiskowej, czy reakcyjnej, charakterystyk, ujętych niekiedy zaledwie w zwięzłe, dosadne określniki, lecz mimo to trafnych i bezstronnym sądem zaprawnych, książka Askenazego

\*) Szymon Askenazy, *Łukasimski*. Tom I-y. Warszawa, 1908. Nakład księgarni p. f. E. Wende i S-ka.



Waleryan Łukasiński.

dotyka całego kompleksu pierwszorzędných spraw i zagadnień, dotyczących założenia Królestwa Polskiego i rządów w niem autonomicznych władz krajowych, oraz zwierzchnich rosyjskich.

Wewnętrzna gospodarka administracyjna, stosunek do Rosyi i Europy, nadto wiele innych doniosłego znaczenia kwestyi, niedość uwzględnionych lub zgoła pominiętych przez dziejopisów tego okresu, poddano tu gruntownej rewizyi i oświetlono znakomitym materiałem dowodowym.

Weźmy choćby stosunek cesarza Aleksandra I-go do Królestwa Polskiego, tej dziwnej formacyi kongresowej, obdarzonej wprawdzie kartą konstytucyjną, w zupełności jednak zależnej od zmiennych prądów petersburskiej racyi stanu. Oddane na łaskę W. Ks. Konstantego nominalnie w zarządzie wojskowym, faktycznie we wszystkich kwestyach, dotyczących całokształtu rządów, Królestwo opierało swój byt i widoki rozwoju wyłącznie na oświadczeniach i obietnicach cesarza, obietnicach wprawdzie wielce ostrożnych i mglistych, wypowiedzianych stylem metaforycznym, bądź jak bądź jednak wystarczających narazie dla uspokojenia społeczeństwa, znekane-go i niepewnego o los swój jutrzejszy. Osoba zatem cesarza stanowić miała jedyną rękojmię prawidłowego biegu życia Królestwa; aliści już w pierwszych zarządzeniach organizacyjnych ujawniły się pewne załamania w polityce Aleksandra. „Wskrzesiciel“ i „odnowiciel“ Polski okazał się człowiekiem chwiejnym, ulegającym naciskowi nieprzychylniej od początku dla Polski przemożnej opinii rosyjskiej, nadto w samej swej jaźni duchowej rozdartym i stąd zdecydowanym do skażenia własnego dzieła, poczętego, być może, w szczerem pomyśleniu o dobru ludów, w dalszem jednak rozwinięciu zwichniętego pod wpływem wzmożenia reakcyi, w „Święte Przymierze“ zorganizowanej.

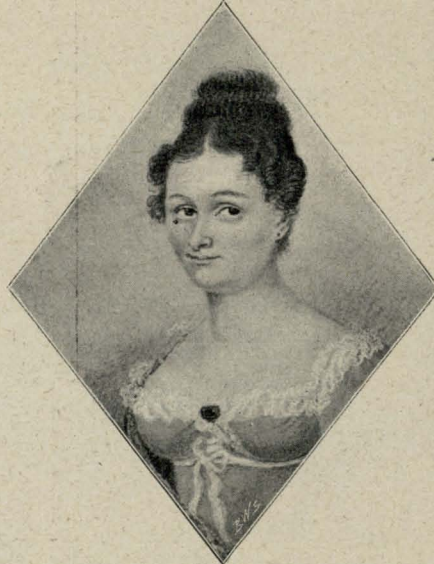
Prądy wsteczne, podmywające istnienie Królestwa konstytucyjnego, brały początek nie w kancelaryach petersburskich lub gabinetach „pana senatora“ Nowosilcowa; wychodziły wprawdzie stamtąd udoskonalone metody działania, lecz ich dźwignią była wzrastająca po ostatnich tchnieniach wielkiej rewolucyi powszechna reakcja europejska. Następował okres restauracyi przycichłych chwilowo rządów policyjnych.

Francya, ta ojczyzna hasła wolności i braterstwa, wracała do czasów *ancien regime*'u, a za tym przykładem poszły inne mocarstwa Starego Świata. Francuskie wzory „białego terroru“, skwapliwie przenicowane na świeży grunt Królestwa Polskiego, znalazły tu dla siebie wygodny teren i pojętych wykonawców. Szczegół to niezmiernie charakterystyczny i wysoce znamienity.

Na takim tle rządów w Kongresówce, podkreślamy raz jeszcze, świetnie i ze zgoła nieznanej strony oświetlonem, srożyła się „szeroka natura“ Wielkiego Księcia, knuły się chytre i przebiegłe intrygi Nowosilcowa i jego zauszników. Na takim też tle wyrastał czyn majora Łukasińskiego.

Życie narodowe w Polsce po utracie bytu politycznego zamarło; w szczupłym Księstwie Warszawskim, obciążonem ciąglem nie-

mal pogotowiem wojennem, wycieńczonem nadto materialnie, nie było czasu i możności na wytworzenie jakiejś prawidłowej organizacyi, ogarniającej interesy całego narodu. Nieunikniona przeto była już w owym okresie akcja spiskowa, tajemna, w gruncie rzeczy nienormalna i niezdrowa, stanowiąca właściwie surogat rzetelnej pracy obywatelskiej. Formacje spiskowe w pierwszych latach po rozbiorach były nietrwałe i rozpadały się zwykle, bądź skutkiem szczególnych przeszkód zewnętrznych, bądź też — co gorsza — skutkiem nieudolności i złej woli niepowołanych zazwyczaj organizatorów, odgrywających samozwańczą rolę „zbawców ojczyzny“, pospolitych warcholów, pałających ambicyą, zarozumiałością lub też żądzą załatwienia swoich porachunków osobistych, pod płaszczykiem patriotyzmu i postępu. Teraz, po r. 1815, wpływały nowe, poważniejsze projekty konspiracyjne, podsycane wzmagającą się z roku na rok reakcyą.



Pulkwownikowa Wierzbołowiczowa, siostra Łukasińskiego.

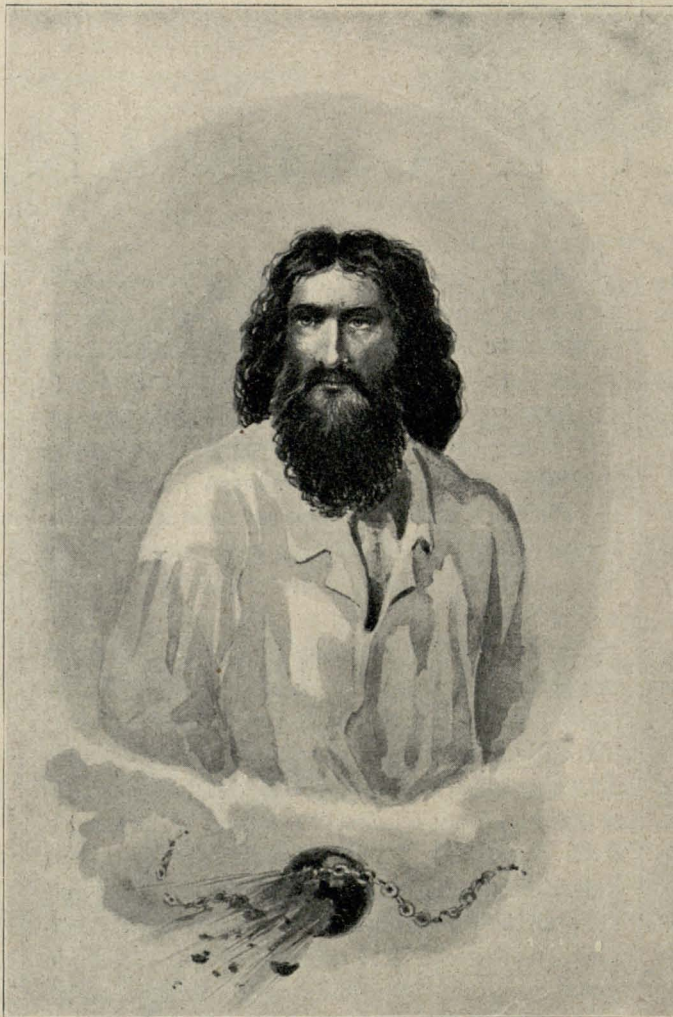
Istniało w Polsce, jeszcze od czasów Rzplitej, wolnomularstwo. Było to stowarzyszenie legalne, jednakowoż z natury swojej dostępne tylko dla pewnego grona wybranych. Przekształcić masoneryę polską na związek ludzi, pracujących dla dobra kraju, nadać jej „cechę narodowości“ stało się zamiarem Łukasińskiego, poczętym zrazu w szczupłym gronie przyjaciół, stopniowo wszakże rozrosłym do poważniejszego czynu — przekształcenia masoneryi zwyczajnej na Wolnomularstwo Narodowe pod faktycznem przewodnictwem Łukasińskiego.

Taka organizacya, stojąca na straży dobrze zrozumianego interesu narodowego, wielkieby mogła mieć znaczenie w kierunku urabiania i prowadzenia opinii publicznej, wewnętrzne atoli rozterki i wzrastające wpływy reakcyjne w kraju skłoniły Łukasińskiego do rozwiązania Wolnomularstwa Narodowego i do podjęcia niebawem nowej roboty organizacyjnej, już wyłącznie tajnej, założenia Towarzystwa Patriotycznego.

Dzieje tego związku, oraz dalszych losów Waleryana Łukasińskiego obejmie mający się wkrótce ukazać tom drugi omawianego dzieła.

Książka Askenazego, oparta na bogatym materiale faktycznym i głębszem rozumieniu przeszłości, mieści w sobie niejedną cenną naukę dziejową. Zawarte w niej spostrzeżenia w najprzeróżniejszych kwestyach, mających nieraz i dziś jeszcze znaczenie aktualne, nasuwają czytelnikowi szereg uwag o doniosłych zagadnieniach politycznych współczesnej Polski i Rosyi.

„Łukasiński“ jest dziełem nie tylko uczonego historyka, lecz i głębiej czującego, myślącego obywatela.



WALERYAN ŁUKASIŃSKI.

Według nieznanej akwareli, będącej własnością brata jego, Antoniego Łukasińskiego, b. porucznika artyleryi b. wojsk polskich, zmarłego w dniu 9 marca 1874 roku w Piotrkowie. Akwarela ta znajduje się obecnie w posiadaniu jednego z przyjaciół Antoniego Łukasińskiego, dzięki którego uprzejmości możemy z nią zapoznać czytelników „Tygodnika“.



„To wino różni się znacznie od poprzedniego...”

STANISŁAW JANOWSKI

## GABRYELA ZAPOLSKA: TAKA BYŁA SŁODKA!...

NOWELA.

3)

Jeszcze nie był tym starym kawalerem, ale coś już było za progiem. A przytem choroba i ciągłe cierpienie kazały mu patrzeć na rzeczy życiowe z jakiegoś odmiennego punktu widzenia. Zwłaszcza co do kobiet. Dzielił je na dwie połowy. Te, które są coś warte, i te, które nic nie są warte. Leżąc przez życie, potykał się tylko o takie dwa rodzaje. A więc dla tych, które były coś warte, miał w zanadru duchowem cześć i pokłony, dla tych, które nic nie były warte, umiarkowany szal i charakterystyczne wyudęcie ust.

Biała madonna była stanowczo coś warta. Taka dokoła niej była atmosfera wartościowa. Przytem trzymała się ładnie. Rozdawała, a raczej rozsiewała swą słodycz na odległość. Gdy mówiła do sekretarza w administracji, była tak uprzejma i łagodna, jak wtedy, gdy rozmawiała z księżną, oplukującą swe spuchnięte, dostojne kolana w basenie, lub rezydującą majestatycznie w nasadówce. Gdy dowiedział się, że ma na imię Ama, nie zdziwił się zupełnie. Inaczej ta kobieta nazywać się nie mogła. Duchowo i krótko. Tylko jego wyróżniała, i to w jakiś inny sposób. Nie był to flirt. Niech Bóg broni tej fałszowanej szpetoty, mającej woń zwietrzałej cykoryi. Manewrowanie welonem było coś więcej. Prostota, a zarazem gest zwiewny i zawsze prawie troska:

— Jak zdrowie?

W duszy Sadowskiego aż grało z radości. Ile sympatii i rzeczywistego zajęcia się

w tych dwóch słowach, co rankiem, po różach pnących się z pierwszego piętra do niego, na piąterko.

Stanowczo coś warta.

Oprócz Amy ma etykietkę życiową krótką: Hercniesz, zdaje się, po owym mężu, który... bił.

Taką delikatną, jasnowłosą, taką w welonie.

Sadowski aż podskoczył w swej opasce, którą na noc mu kąpielowy, zamiast słuckiego pasa przodków, brzuch owinął.

— Gdyby nawet dopuściła się zbrodni, gdyby nawet zdrady, nie miał prawa.

I zaraz wzruszył ramionami.

— Ona zdrady? W oczach tych jasność sama, i to taka promienna, prawda, czysta. Ona ani złości, ani zdrady dopuściłoby się nie mogła.

Poprawił opaskę i usiłował zasnąć.

— Jutro mię się znów o zdrowie zapyta.

Uśmiechnął się.

— I tak słodko.

Słowem, ciągle są razem, czy w Wiedniu, czy w zakładzie.

Ona idzie naprzód w ekstazie, przed wystawami sklepowymi, a on w jej smudze.

— Gdybym mógł jej ofiarować tę torbęczkę z zegarkiem—kombinuje—gdyby to można było tak zrobić, ażeby ona zrozumiała, że ja za to... ach! nie!... broń Boże!

Patrzy właśnie, jak ona idzie przed nim

w białej, płóciennej, ubranej gipiurami sukni, i z kapelusza zwiesza się jej długi, haftowany gazowy welon.

Wiedeńczycy patrzą na nią, jak na zjawisko.

— Ja co... od niej... choćby pocałunek... och!

Aż się potknął o biust jakiejś Wiedenki.

— Od takiej archanielicy.

Ona odwraca się. I uśmiecha się, prawie jak dzieciątko.

— Zmęczony?—pyta delikatnie.

— Nie, nie—zapewnia Sadowski.

— Ale zmęczony. A jeśli nie on, to ona zmęczona.

Pokazuje na siebie nieporównanym, ślicznym gestem.

Sadowski chwytając okazyję, z radością mężczyzny, któremu się trafia możliwość „wpadnięcia” do knajpy.

— Może gdzie wstąpimy?

Mówi to nieśmiało. Ale archanielica rezolutnie dosyć przystaje.

— Dobrze. Tylko na werandzie.

— Ależ tak.

Za chwilę siedzą w restauracji poza szpalerem szarych od kurzu i ugariniowanych białą niedopałków bluszczów. O kilkanaście kroków konie fiakerskie biją kopytami i rozwiewają żółte, ciężkie dery, pod którymi muchy odprawiają całe parlamenty.

Sadowski z rozkoszą patrzy, jak Ama połyka kremy, torty, pianki, i znów torty, kremy i pianki.

On miał ochotę na sznycla, ale ona z anielskim gestem zabroniła mu mięsa. Jest bowiem skazany na wegetariańską kuchnię. Ama troskliwie wybiera mu „menu“ ze szparagów, kalafiorów, brukselki i innych zielin.

— Nie wolno... nie wolno... ja każe!

Rozkoszą napędza go ta słodka staranność. Nagle doznał jakiegoś dawno nieznanego wesołości. Ta słodka kobieta, gwar Wiednia, trochę ulgi w cierpieniu podnieca go radośnie. I warszawskim zwyczajem nie pojmuje inaczej wyładowania tego radosnego uczucia, jak w formie pękatej, szkaradnej butelki, sterczącej w odrapanej wazie, imitującej nieśmiało srebro.

— Każę zamrozić...

Ale ona zarumieniła się z oburzenia.

— Proszę pana... co toaczy?

— Ja... nic... tak...

— Panu nie wolno. A jeśli dla mnie, to ja mam wstręt do szampana.

I cudne, łagodne, domowe spojrzenie.

— Po co takie wydatki?

Uśmiechnął się. Sprawiała mu tem wielką radość. Stanowczo była dużo warta. Tak naiwnie troszczy się o to, aby nie wydał dużo na szampana. Prawie naiwna. Słodka! I tamten ją bił!

— Zresztą ja tylko jedno wino lubię—dodaje.

— ?...

— Liebfrauenmilch.

Sadowski rzuca się, jak szaleniec, na kartę win. Jest Liebfrauenmilch, jakieś bajeczne, trzy razy droższe, niż Roederer. Pał sześć! Skoro Ama lubi. Przynoszą z czcią i szacunkiem. Kelner idzie, jakby niósł urnę z popiołami Napoleona. Sadowski rozlewa wino z równym namaszczeniem. Jedna Ama pije

ten cud, jak zwyczajną lurę po koronie fikę. Sadowski, który czekał na jakiś zachwyty, jest trochę zdziwiony. Wreszcie zapytuje:

— Dobre?

Anna uśmiecha się anielsko.

— Dobre.

I zaraz dodaje:

— Wreszcie ja się nie znam.

Sadowski zaczyna żałować, że się zagłupiał w retrospektywność i postanawia na drugi raz zbliżyć się z datą Liebfrauenmilchu więcej do terażniejszości. Zdziwienie jednak wzrasta, gdy Ama (pomimo tego, że się nie zna) natychmiast ostrzega go łagodnie.

— Tutaj są nieuczciwi ludzie w tej restauracji. To wino różni się znacznie od poprzedniego.

I z boskim uśmiechem dodaje:

— Bo nie chcę, aby panu działa się krzywda.

(DCN)

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

## CHŁOPI. LATO.

43.

Wracała do domu srodze zadumana, smutna i jakaś rozjęskniona.

— A ja co? ten bądyl suchy, o którym nikt nie stoi—westchnęła sieroco.

Kajś w pół drogi spotkała Mateusza, leciał do siostry, ale zawrócił z nią i uważnie słuchał rozpowiadania o Szymkach.

— Nie wszystkim tak dobrze—powiedział jeno chmurnie.

Nie szła im rozmowa, on czegoś wdychał, drapiąc się fraszobliwie po głowie, a Jagusia zapatrzyła się na Lipce, całe w łunach zachodu.

— Hej, duszno też na tym świecie i ciasno—rzekł jakby do siebie.

Zajrzała mu pytająco w oczy.

— Cóż ci to? krzywisz się, kieby po occie.

Jął wyrzekać, jako mu się mierzi życie i wieś i wszystko, i że pewnikiem pójdzie we świat, gdzie go oczy poniosą.

— To się ozeń, a miał będziesz odmianę—żartowała.

— Żeby to me chciała, którą mam w myślach—zajrzał jej w oczy natarczywie, odwróciła głowę niechętna jakoś i wraz pomieszana.

— Spytaj się jej! Każda za cie pójdzie, a niejedna już wygląda swatów.

— A jak odmówi! Wstyd będzie i zgryzota.

— To pošlesz z wódką do inszej.

— Ja nie z takich, upatrzyłem se jedną, to me do drugiej nie bierze.

— Chłopu to każda jednako pachnie, i z każdą radby przyjść do poufałości.

Nie bronił się, a jeno zaczął z innej beczki.

— Wiesz, Jaguś, a to chłopaki czekają jeno pory, żeby do cię ślać z wódką.

— Niech se sami wychlają, nie pódę za żadnego!—wyrzekła z mocą, jaże się za-

stanowił, a szczerze powiedziała, gdyż żaden nie widział się jej miłszym nad drugiego, juści kromie Jasia, ale Jasio...

Westchnęła ciężko, z lubością oddając się spominkom o nim, że Mateusz, nie mogąc się dogadać, zawrócił z powrotem do siostry.

Ona zaś, wlekąc lekliwymi oczami po świecie, pomyślała:

— Co on tam teraz porabia, co?

Zatargła się gwałtownie, ktosik ją objął znieacka i przyciskał.

— Nie ucieczesz mi teraz—szeptał namiętnie wójt.

Wyrwała mu się z pazurów i wrzeszczała rozszoszona:

— Jeszcze raz me tkniecie, to wam ślepie wydrapię i takiego narobię piekła, jaże się cała wieś zleci.

— Cichoj, Jaguś, dyć gościńca ci przywiozłem—i wtykał jej w ręce korale.

— Wsadźcie je sobie gdzieś, stoję o wasze podarunki, co o ten patyk złamany!

— Jagusiu, co ty wyrabiasz, co!—jąkał zdumiony.

— A to, żeście świntuch i tyla! I ani ważcie się mnie czepiać.

Odbiegła go rozszozona i, kiej burza, wpadła do chałupy, matka obierała ziemniaki, a Jędrzych doił krowy w opłotkach, zabrała się więc żwawo do wieczornych obrządków, ale tak się trzęsła ze złości, że, nie mogąc się uspokoić, skoro się jeno ściemniało, zebrała się znowu bieżyć.

— Zajrzę do organistów—powiedziała matce.

Często tam teraz chodziła, wystugując się im na różne sposoby, aby choć niekiedy posłyszeć jakie słowa o Jasiu.

Leciała też, spragniona o nim wieści, a z jakąś cichą nadzieją usłyszenia dzisiaj czegoś nowego.

I pokrótce zajarzyły się w mrokach oświetlone okna jasiowego pokoju, kaj teraz Michał pisał cosik pod wiszącą lampą, zaś organisty siedziały przed domem, na chłodzie.

— Jasio przyjeżdża jutro po południu!—przywitała ją organistka nowiną, od której dziw trupem nie padła, nogi się pod nią ugięły, serce zakotłowało aż do utraty tchu, cała stanęła w ognjach i takim dygocie, że, posiedziawszy la nieznaki jakąś chwilę, uciekła, jakby goniona aż kajś na topolową, pod las...

— Jezus mój kochany!—buchnęła dziękczynnie, wyciągając ręce, lzy pociekły jej z oczów, i tak się w niej rozspiewała radość, że chciało się jej śmiać, i krzyczeć, i kajś lecieć, i całować te drzewa, i tulić się do tych pól, pośpionych w księżycowej poświęcie.

— Jasio przyjeżdża, przyjeżdża—szepiała niekiedy, porywając się nagle, jak ptak, i leciała kajś, porwana wszystką mocą oczekiwań i tęsknic, jakoby naprzeciw doli swojej i nieopowiedzianemu szczęściu.

Był już późny wieczór, kiej się znalazła z powrotem we wsi, w oknach było już ciemno, świeciło się tylko u Borynów, kaj się zebrało sporo narodu, dojrziała bezwolnie, niczego nie miarkując, i poszła do domu czekać tego jutra i śnić o jasiowym powrocie.

Ale na darmo się przewracała z boku na bok, nie zasnęła, więc, skoro matka zachrapała, podniosła się cichuśko i, przyokrywając się w zapaskę, siadła pod domem czekać snu albo świtania.

W chałupie Borynów, za stawem, świeciło się jeszcze po jednej stronie, i niekiedy szły stamtąd ściszone odgłosy rozmów.

Wpatrzyła się zrazu w drzące na wodzie odbłaski światła i zapomniała o wszyst-



PORANEK NIEDZIELNY (HOLANDYA)  
Z wystawy „Sztuka w życiu dziecka“ w Salonie T. Z. S. P.

A. NEWMAN

kiem, grząc się w mgławych i rozmigotanych dumaniach, co ją oprzędły, kiej pajęczyny, i wraz poniesły w jakiś cichy podwieczór, szcerwieniony od zórz, we wszystek świat nieukozonej tęsknicy.

Księżyc już był zaszedł, płowy mrok obtulał pola uśpione, gwiazdy świeciły wysoko, i kiejś niekiedy spadała któraś z taką chyżością i tak gdzieś strasznie daleko, jaże dech w piersiach zapierało, i mróz przechodził kości; niekiedy nagrany, leciutki powiew muskał pieściwie, kieby te umiłowane ręce, a czasem z pól podnosił się upalny, rozpachniony wzdych i przejmował serce, jaże się prężyła z lubości, rozwierając ramiona. To siedziała w dumaniu, jeno wszystka i w czuciu niewypowiedzianej słodkości, jak pęd, którego się pręży i wzbiera w sobie... a noc stąpała przez nią cicho i ostrożnie, jakby nie chcąc płoszyć człowieka szczęścia.

U Borynów ciągiem się świeciło, i na drodze stróżował czujnie Witek, by ktoś nieproszony nie podsłuchał, gdyż zeszli się na cichą, przyjacielską naradę przed jutrzejszym zebraniem w kancelaryi, na które wzywał wójt wszystkich gospodarzy lipeckich.

W izbie było ciemnawo, jakiś ogarek słabo się ćmił na okapie, że jeno niektóre głowy można było rozeznać w gęstwie, zeszło się bowiem ze dwadzieścia chłopów, wszyscy, którzy trzymali z Antkiem i Grzelą.

Rocho, siedzący kajś w mroku, tłomaczył szeroko, coby to wyszło la wsi, jeżeli się zgodzą na postawienie szkoły w Lipcach; a potem Grzela nauczał każdego z osobna, co ma powiedzieć naczelnikowi i jak głósować.

Długo w noc radzili, boć nie obeszło się bez kłótni a sprzeciwów, ale w końcu zgodzili się na jedno i, nim zaświtało, rozeszli się śpiesznie, gdyż nazajutrz trza było dość wcześnie wyruszać.

Tylko Jagusia została jeszcze na przyźbie, jakby już do cna zagubiona w dumaniach i nocy, siedziała ślepa i głucha na wszystko, szepcząc jeno niekiedy niby te gorące słowa nieskończonego pacierza:

— Przyjedzie, przyjedzie!

I kłoniła się bezwoliwie, jakby nad ju-

trem, jakby chcąc dojrzeć, co la niej niesie ten świt, szarzejący nad ziemią, z lękiem a radością dając się temu, co miało się stać.

## XII.

Przypołudnie dochodziło, skwar czynił się coraz większy, i naród już się był w całość zgromadził przed kancelaryą, a naczelnika jeszcze nie było. Pisarz raz poraz wychodził na próg i, przysłoniwszy dłonią oczy, wyzierał na szeroką drogę, obsadzoną pokrzywionymi wierzbami, ale tam się jeno lśniły kałuże, ostaje po wczorajszej ulewie, toczył się zwolna jakiś zapóźniony wóz, i kajś niekaj między drzewami zabeliała chłopska kapota.

Gromada czekała cierpliwie, a tylko jeden wójt latał, kiej oparzony, wyglądał na drogę i coraz głośniejszym przynaglał chłopów, zasympujących wyrwy i doły na placu przed kancelaryą.

— Prędzej, chłopcy! Laboga, żeby jeno zdążyć, nim nadjedzie.

— A nie popuście jeno ze strachu — ozwał się z kupy jakiś głos.

— Ruchajta się, ludzie! Ja tu po urzędzie, nie pora na przekpinki.

— Wójcie, a to jeno Boga się bójcie — zaśmiał się któryś z Rzepeckich.

— A którego jeszcze pysk wyrze, do kozy każe wsadzić — zakrzyczał srogo wójt i poleciał wyjrzeć ze smętara, że to leżał na wzgórk, do którego szczytem była przywarta kancelaryja.

Wielgachne, prawieczne drzewa wynosiły się nad nią, kościelna wieża szarzała skroś gałęzi, zaś czarne ramiona krzyżów wychylały się z poza kamiennego ogrodzenia na dachy i drogę, wiodącą przez wieś.

Wójt, nie wypatrywszy niczego, postawił przy ludziach jednego ze sołtysów, a sam wszedł do kancelaryi, kaj ciągiem ktoś wchodził i wychodził, że to pisarz co trochę wywoływał któregoś z gospodarzy, z cicha przypominając zaległe podatki, nie zapłaconą składkę na sąd, albo jeszcze i coś lepszego. Juści, co ta nikomu nie poszły w smak takie wypominki, ale słuchali wzdychający, bo cóż było robić teraz, na ciężkim przednówku?

Mogli to płacić, kiej niejednemu już i na sól nie starczyło, to mu się jeno w pas kłaniali, jaki taki nawet go w rękę całował, zaś poniekiedy i tę ostatnią złotówczynę w nadstawioną garść wtykał, a wszystkie jednako skamlały o poczekanie do żniw lub do najbliższego jarmarku.

Z pisarza chytra była sztuka i przemądrzała, łupił też naród ze skóry, jaże trzeszczało, niby to wszystko obiecywał, a kogo strachał strażnikami, komu bakę w oczy świecił, z kim był za pan brat, a od każdego cosik wycygał, to owsa mu zbrakło, to potrza było młodych gąsek la naczelnika, to przymawiał się o słomę na powrośla, że radzi nie radzi przyobiecali, co jeno chciał, on zaś na odchodnym brał co znajomszych na stronę i radził im niby to z przyjacielsstwa:

— A uchwalcie na szkołę, bo, jak się będziecie sprzeczali, to naczelnik może się rozgniewać i gotów wam jeszcze popsuć zgodę z dziedzicem o las — przestrzegał lipeckich ludzi.

— Jakże to, zgodę robim z dobrej woli! — zdumiał się Płoszka.

— Prawda, ale nie wiecie to: pan z panem zna się, a chłopu zaś.

Płoszka odszedł, wielce sfrasowany, pisarz zaś dalej wywoływał ludzi, a coraz to z drugich wsi, każdego strasząc czem innym, a do jednego niewoląc, że w mig się o tem roznieśli między gromadą.

A niemała kupa zebrała się narodu, zeszło się bowiem przeszło dwieście chłopów, którzy zrazu stojali wsiami, swojaki przy swójakach, że łącno rozeznał, które są z Lipiec, które z Modlicy, a które z Przyłęka lub z Rzepek, bo każda wieś znała się jenszymi ubierami, ale, skoro się jeno rozeszło, jako trzeba głósować na szkołę, gdyż tak chce sam naczelnik, jeżeli się mieszać, przechodzić z kupy do kupy i stowarzyszać wedle upodoby, że tylko jedna rzepecka szlachta trzymała się z osobna, zadzierzyście a hardo spozierając na chłopów, choć to biedota była taka, że, jak się z nich prześmiewali, trzech wypadało na jeden krowi ogon; reszta zaś narodu spleciona, kiej grochownicy, poroztrząsała się po placu, sporo chroniło się w cieniu smętara i przy wozach.

(DCN)

# ARTUR OPPMAN (OR-OT).\*)



Stare Miasto: „Ofiarowanie“.

Nad poezją naszą ostatniej ćwierci XIX wieku zawisła chmurna, jesienna pogoda; zaciemiony został słoneczny Apollo. Zdawało się, że poezya zamiera z braku tych, którzy jej pragną. Czyciele Apolla poszli niemal w poniewierkę, w katakumby, a zawód poety stał się śmiesznym, jak stara moda i czczy tytuł. Aliści pod koniec wieku i z początkiem nowego wystąpiła znowu z ukrycia dziatwa słoneczna, tryumfalna, niesforna, nie wyszkolona, istny strajk geniuszów przeciwko despotycznemu uciskowi pozytywizmu. Razem z tym rewolucyjnym pochodem ad astra kroczy tłum chwalców, wygłodzonych oddawna konsumentów poezyi, krytyków, którzy stwarzają nowe słońca, aby okazać potęgę swych teleskopów, wreszcie członków bractwa wzajemnej reklamy słońc, piszących o słońcach. Historia literatury sprawi w tej wrzawie sąd i porządek: zasiądą po prawicy Apolla sprawiedliwi wieszczowie, pójdą inni do czyścica i do piekiel.

Co się zaś stanie z krytykami i recenzentami nowożytnego poezyi? nie śmiem przewidywać. Dante w swej piekielnej wyobraźni wynalazłby torturę stosowną na języki tych gorszydzieli smaku.

Do przedmiotu! Mam przed sobą zbiór

\*) Z powodu nowego, pomnożonego wydania wyboru poezyi. Warszawa 1908 r. Nakład Gebethnera i Wolffa.

pieśni autentycznego poety, kwitnącego pomiędzy nami, który nie wybuchnął bombą wśród jakiegoś literackiego spisku, ani znalazł agentów, przemycających go do grona proroków większych, tylko swą pieśń równą i czystą przesączył już od pewnego czasu do serc ziomek, kochających dobrą muzykę i trafne określenie podniosłych myśli. Nasz Or-Ot idzie sobie przez życie, wspominający, śpiewający, idzie różnym krokiem po drodze, od wieków i na wieki dla narodu wytkniętej, trzyma czysto prym ogromnego chóru, stąpa nie sam jeden na czele, ale w przednim szwadronie honorowym. Nie oślepią go jaskrawymi sygnałami, lecz pierśi drużyny rozgrzewa.

Bezwzględny poszukiwaczom nowości mogą się wydać pieśni Or-Ota już niegdyś słyszanymi. Byłby to zarzut wcale niesłuszny. Poezje te są istotnie nawiązane do tradycji polskiej, i to, co rzadkie w dzisiejszym pokoleniu, do Mickiewiczowskiej. Ale, jeżeli tu i owdzie pożyczona jest nuta, jeżeli i w treści przebija dobra szkoła, niema nigdzie naśladowstwa. Ani wychowania na klasykach narodowych, ani predylekcji do tematów miejskich i żołnierskich nie można przecie Or-Otowi poczytać za wadę. Lirykę jego przenika uczucie nowożytnie i osobiste.

Na czele tomu postawił autor wiersz, noszący tytuł: „Za kroplę mojej niemieckiej krwi“.

Ten wywód genealogiczny rodziny „z Turynii rodem dalekiej“, przeprowadzony „do pól Grochowa, gdzie stał mój dziad“, sprzecza się pozornie z „Ofiarowaniem“ cyklu p. t. „Stare miasto“, tak zakończonym: „Te pieśni moje, ja, mieszczkańskie dziecko, Poświęcam tobie, dziecku mieszczkańskiemu.“

Ale niema w tem istotnej sprzeczności. Z ideałów i tradycji swych rycerskich przodków wziął poeta tylko cnoty przystojne każdemu obywatelowi: gotowość do obrony kraju, poczucie godności narodowej; odrzuca zaś od siebie pyszność i pretensje szlacheckie. Ta duma narodowa, połączona ze skromnością osobistą, wieje ze wszystkich utworów Or-Ota, jak dobry zapach, sympatycznie uprzedzający do poety i jego pieśni.

W poezjach Artura Oppmana trzeba rozróżnić parę rodzajów, nieściśle odgraniczonych jeden od drugiego, raczej parę wybitnych upodobań: pieśni o starym i współczesnym mieszczkaństwie i pieśni, któreby można nazwać „patryotycznymi“,

gdyby cała twórczość Or-Ota nie przenikała gorący patryotyzm. W tych dwóch rodzajach streszcza się „corona operis“ poety, chociaż i w innych, nie podpadających pod wyżej wymienione kategorie, znajdują się wiersze równie wyborne, jak ważne dla poznania liry i osoby poety, np. „Don Kiszot“ i „Pieśń o wędrownym muzykusie“. Jest wreszcie w „Wyborze“ wiązanka wynurzeń miłosnych („Blizkiej... dalekiej“, „Wyspa wiecznej miłości“, „Umarła miłość“, „Pamiętnik“ i t. d.), których wartość artystyczną przyćmiewa to głównie, że są zbyt szczerze i gorące.

Ten pozorny sofizm postaram się uzasadnić. Każdemu, kto składał wiersze liryczne, wiadomo, że pisanie pod bezpośrednim wrażeniem, z serca, bijącego jeszcze tem uczu-



Stare Miasto: „Maciejowa i Bartłomiej“.

ciem, które przelewa się w rymy, nie daje wyników najlepszych. O ile wiersz bez autentycznego wzruszenia jest martwy, o tyle dla artystycznej doskonałości utworu potrzebne poczucie oddalenia od chwili i źródła wzruszenia, potrzebny (nawet w liryce—tak!) pewien obiektywizm względem siebie samego. To, co nazywamy szczerością w artyście liryku, nie jest absolutną szczerością spowiedzi. Artysta nie fałszuje odczucia przez siebie dreszczu, lecz go dostraja do wymagań swej estetycznej postawy wobec czytelnika, do



Stare Miasto: „Maciej Flisak“.



Stare Miasto: „Grajek“.

tępszej wrażliwości zimnego zazwyczaj słuchacza. Aby westchnienie stało się harmonią, krzyk rytmem, a prosta rozmowa dobrym wierszem, musi poeta użyć niejednego kunsztownego podstępu. Takim podstępem stworzony został nasz arcy-poemat miłosny „W Szwajcaryi“, osnuty na przelotnym, choć głębokim wrażeniu, na fabule zgoła urojonej. Taką *transponowaną* furją erotyczną skrzy się sławny wiersz: „Connaissez-vous dans Barcelonne...“ Musset'a, który podówczas nie znał nawet Hiszpanii.

Jeżeli pieśni miłosne Or-Ota mniej są błyskotliwe i pospolitszego toku mowy, niż inne, to znowu wielka szczerść tych wierszy, oddanych czytelnikowi w stanie poufnych zwierzeń, nadaje im wartość autobiograficzną: pełne są ceny dla krytyka i historyka literatury. Jabym je zgrupował w jeden cykl i nazwał pamiętnikiem.

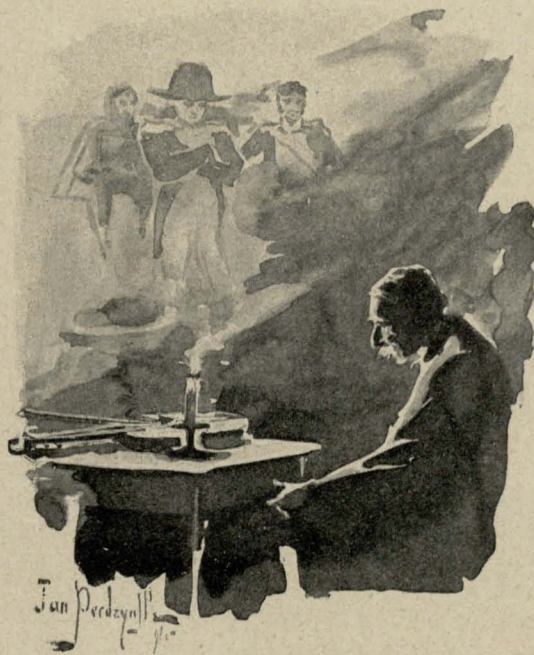
Wybitną cnotą pisarską Artura Oppmana jest wogóle szczerść i wykąpana w artyzmie prostota. Obcy mu szeroki, a nie przekonywający gest apostolski; nie chce on wchodzić, jak inni, na jakieś kartonowe góry, gdzie rzekomo rozmawia się z demonami i Jehową, a potem, schodząc do ludu, bełkocze się, pod pozorem olśnienia od wszechwiedzy, harmonijne pół-zdania i nonsensy. Or-Ot trzyma się w zakresie pojęć, którymi

owładnął, słów, które dobrał trafnie i celowo. Bije z nich żywe umiłowanie ludzkości i narodu, przemawia głos bratni, każdemu zrozumiały, w rymach niezaprzeczenie wybornych, w wiązaniach myśli misternych, ale jasnych.

Ulubionego śpiewaka Warszawy każdy rozumie podobnie, a ceni w stosunku prostym do stopnia swej kultury artystycznej. Niema w nim zagadek, ani wątpliwych wartości.

Po zestawieniu w pamięci wszystkiego, co Or-Ot wyśpiewał na cześć mieszczaństwa, a szczególnie Warszawy\*), nasuwają się pod pióro utarte już jego tytuły: poeta mieszczański, urodzony śpiewak Warszawy i t. p.

Te epigrafy w stylu medalowym nie wyczerpują ani indywidualności, ani zasługi Artura Oppmana; nie trafiają nawet w sedno charakterystyki jednej części jego twórczości. Mógłby kto bowiem pomyśleć, znając tylko przydomek, że Or-Ot jest ultra-demokratą, albo że ma patriotyzm, przywiązany do dzwonnicy fary warszawskiej. Każdy jednak, kto go zna lub tylko przeczytał jego druki, wie, że tak nie jest. Or-Ot umiłowaniem patriotycznym sięga szeroko, a wykwinna jego du-



Stare Miasto: „Grajek“.

sza ciągnie go do selekcji nawet w ulubionych tematach mieszczańskich. Ze starego miasta kamiennego wyławia zabytki starej kultury artystycznej; ze starych legend miejskich bierze asumpt do opiewania cnót i szczytów dawnego mieszczaństwa. Gdy zaś czyni przegląd społecznych drobnych łyčzków, to znowu wybiera tylko typy cenne dla historii i postępu kultury narodowej. Ta widoczna tendencja w studyach i spostrzeżeniach czyni nawet tom p. t. „Stare miasto“ monotonnym (w „Wyborze“ cykl skrócony zyskał wiele na barwności). Każdy

\*) Tylko niektóre z tych poezji objęte zostały „Wyborem“. „Stare miasto“ tworzy tom, drukowany w Krakowie r. 1902. Broszura zaś p. t. „Kronika mieszczańska“ (wydana r. 1903) jest tylko dwunastą częścią nieznanego nam dotąd w całości zbioru poematów mieszczańskich, który niebawem wyjdzie w druku.



Stare Miasto: „Bonaparte“.

niemal staromieszczanin z galeryi Or-Ota był za młodu w jakichś zaszczytnych szeregach, każdy ma drobne bardzo śmieszności, a wielkie cnoty narodowe. Nie myślę o to wytaczać pocie procesu, że pośród szewców szuka choćby drobniejszych Kilińskich, że chwali pieśnią wartości społeczne we wszystkich warstwach. Pragnąc demokratyzacji społeczeństwa, chce ujrzyć zrównanie na dostatecznie wzniosłym poziomie, godnym narodu starego i żywotnego. I ukochał szczególnie tę warstwę, której zawsze mieliśmy, niestety, za mało, która może nareszcie ostoi się rozsypce i nierozumnemu dążeniu do szlachetczyzny, narodowy polski patrycyat. Or-Ota nazwać można prawym śpiewakiem polskiego patrycyatu.

(DN)

JÓZEF WEYSSENHOFF.

**OR-OT: SŁUŻBA POETY.**

Żołnierską służbę trzeba pełnić twardo  
I dzierżyć lutnię, jako szablę nagą,  
Pióropusz pychy odtrącić z pogardą,  
A zmorom życia patrzeć w twarz z odwagą.

Na zagrożonej stanąwszy reducie,  
Trzeba do rdzenia spromienić się w sobie,  
Walczyć miłością w każdej pieśni nucie,  
Krwia żywiał własną to, co leży w grobie.

I nie żałować krwi tej, ani siły,  
Jeśli prochowi tajną moc przywrócić,  
I głąz omszony odwałą z mogiły,  
I krzyk umarłych ku żyjącym rzucić.

Trzeba wartować na śmiertelnem polu,  
Kędy nienawiść, jako miecz, szaleje,  
I nie przemawiać, jak wódz z Kapitolu,  
Lecz, jak straż nocna, wieszcząca: „Już dnieje.“

Żołnierską burkę złożywszy pod głowę,  
I we śnie trzeba wzrok wyteńczyć bystry,  
Odegnąć z marzeń korony laurowe  
I z buławami marszałków tornistry.

Te iskry uczuć, co z pieśni zapłoną,  
Pamięć narodu, zbudzona twą księgą,  
Jak krzyż *Virtuti*, ozdobią twe łono  
I pierś przepaszą jeneralską wstęgą.

Broń po rycersku dziadów swych puścizny  
I ani jednej nie ustąp pamiętki,  
Bo wielkie serce wielkiej twej ojczyzny  
Tak samo kocha *Dziś*, jak *Wczora* szczytki.

Zwiąż to, co było, z tem, co jest i będzie,  
Uczyni z tej trójcy wieczystą modlitwę,  
A choć odejdiesz za grobu krawędzie:  
Pieśni w czyn się zmieni, a czyn wygra bitwę!



Stare Miasto: „Maciej Flisak“.

## LITOŚCI DWIE.

Litość — współczucie.

Litość — współdziałanie.

Źródłem pierwszej — „szósty zmysł człowieka” — serce.

Drugiej — „lecznica duszy ludzkiej”, umysł.

Pierwsza — poryw! Druga — obowiązek!

Obie szlachetne. Obie stwarzają ogrom dobra drugim. Obie darzą szczytnym szczęściem... siebie.

Zaprawdę to ostatnie!

Bo czyż nie szczęśliwszą istotą taki, kto udziela litości, niesie ofiarę, od tego, który przyjmuje?

Dla „dostojnego” czyż nie rozkoszniej darzyć, niż brać?

A skoro „czas wiekisty i los swoisty” zapycha nas wszystkich w jeden z dwóch szeregów świata: Biorą, Dają, to ja, z pragnienia szczęścia osobistego, nazwijcie to zresztą egoizmem, bodaj podstępnie wciskam się w ten drugi.

Zresztą niech będę, co się zdarza nieraz, nieuczciwie eksploatowanym, niech mój grosz, też nie lekki, przepije żebrak, a uczniak — przepróźnie mój wpis, ale ja będę w miarę jakiej takiej możliwości dawał i tym, i tamtym, bo mnie to sprawia zadowolenie. Bo w chwili, gdy daję, ja czuję się ogromnie wyższym, potężniejszym od tego, czyje usta lub serce wymawia pod moim adresem: „Bóg zapłać”.

Przecież to ja podnoszę w górę czoło! A wiadomo, że i przelotny błysk pogody duszy, tężyzny uczucia to dla każdego z nas niemały zdroj sily.

Więc bądźmy „sobie” litościwi względem drugich.

\* \* \*

A okazji po temu, zwłaszcza dzisiaj, pośród nas, jak łąz.

Ale cóż! Gdy litość, płynąca z serca, współczucie doli gorzkiej, w tem naszym nędzarnem otoczeniu — żebractwa, sieroctwa, ciemnoty, zbrodniczości, ma przed sobą drzwi naoscięz otwarte, bo jej ofiary te jakby błyszczą na słońcu, to litość, płynąca z obowiązku, ta czeka, abyśmy ją sami odszukiwali sobie po świecie szerokim.

Bo „wetknąć dziadkowi” miedziaka można u nas na każdym kroku. Wesprzeć biedującą rodzinę to w kółku każdego z nas rzecz bajecznie dostępna. Ale już choćby złożyć, od tak od ręki, na wpisy, ofiarować jaki taki datek, pomoc na pożyteczne wydawnictwo, na nową szkołę, na szpitalik, na dzieci więźniów, przytułek położniczy... w naszych stosunkach bywa przytłumem. Tu trzeba gdzieś chodzić, kogoś szukać, zarządów, opiekunów, skarbników, wstępować do redakcyj, informować się, często napróżno, wyczekiwać godzinami wreszcie, a co może najważniejsze, trzeba o tych rzeczach, skoro się ich nie widuje, słyszeć, a poza tem myśleć. A przecież wiadomo, że *Denken ist schwer* — myśleć to ciężka sprawa.

Stąd to nasz polski ogół — ogół słusznie znany światu ze swej ofiarności uczuć, szwankuje na punkcie litości-obowiązku. Płynie i ona — ale cieniutkim strumykiem.

I to jest złem wielkiem! bo w skutkach ogólnospołecznych.

Nie inaczej; bo, gdy miłosierdzie rozwija pośród nas wrażliwość serc, i w tem niejednokrotnie słuchamy nakazu Świętochowskiego: *Omiń raczej świątynię, niż nędzarza*, to ofiarność obywatelska, uspołeczniając nasze sumienie, jakby za

rękę prowadzi nas przed ołtarz, na którym wyrzuci te słowa Mickiewicza:

*W szczęściu każdego są wszystkich cele.*

\* \* \*

Biorę przykład z życia — owej księgi złotej, poznania dobrego i złego.

W przypadkach, gdy niezamożna, kształcąca się młodzież zwracała się w stronę ogółu bezpośrednio o pomoc, czy to w formie składek, czynnego lub biernego udziału w koncertach, zabawach, odczytach, chętnie, niema gadania przeciągamy dłonie.

Z racji? Bo tu przed oczyma mamy niedostatek, widzimy gorące, a utrudnione chęci nauki młodszej braci, i nasze uczucie, słuchając głosu serca, pełni swoją powinność, a polska litość-współczucie usprawiedliwia swoją, wyżej wspomnianą opinię świata. Prawda, wchodzi tu czasem w grę i próżność, i chęć zabawy, stosunki nawet, chęć reklamy, ale koniec końców robi się sporo i cicho z dobrego serca, a ogół z tą stroną życia jest niemal w porządku.

Tymczasem los, raczej zły, zawistny los, teje naszej młodzieży, którą złowrogie przejście kraju wprost chmarą wyrzuciły za ojczyste progi, pozbawiając rodzin, opieki, współdoli, tej los niemal zupełnie nam obojętnej. Tę sprawę traktujemy, jakby jej wcale nie było.

A sprawa jest. Młodzież ta bowiem twardo i ciężko zмага się tam, pośród obcych, w ogromnej ilości wypadków z niezamożnością, a niejednokrotnie walczy z nędzą.

A właśnie nikt o tem u nas nie mówi, nie pisze, czyli nie myśli. Nie myśli, bo myśl jest zapoczątkowaniem czynu, a czynów nie widać. Zaś myśl, która nie dąży do czynu, myśl jałowa to majaczenie tylko.

Rezultat: nikt do składek na wspólny cel nie zachęca, nikt, na ogół biorąc, nie spełnia litości-obowiązku. Z racji? — bo ta nie wzrusza bezpośrednio naszych serc, nie stoi, jak tamta, żywa na oczach, nie dopomina się sama o swoje prawa, nie krzyczy, nie lamentuje.

\* \* \*

Aż nareszcie coś jakby przysłała góra do Mahometa, bo przeczytaliśmy w naszych pismach odezwę Związku zagranicą przebywającej naszej młodzieży, przypominającą nam... obowiązek.

Więc choć teraz odezwiemy się społem. Wszak mówią Chińczycy: upadłym jest nie ten, kto się obsunie, ale ten, kto podnieść się nie może. Trafne to. Cóż? Odezwiemy się! Wszak przemówiono otwarcie: ratujcie swoi swoich. Wskazano drogę, uproszono redakcyę pism o pośrednictwo w zbieraniu i przesyłaniu składek.

Odezwiemy się!

Pamiętajmy, że kaleka, wdowa po robotniku, bezdomna sierota, ofiara pogromu, tym wszystkim, gdy są tu w kraju swoim, pośród nas, gdy nędza wyciąga już po nich trupie swe palce, dosyć stanąć pod murem i tu milczeć, a w teje chwili mają szansę pomocy z naszej strony, uniknięcia głodu, skostnienia.

Ale walczący z niedostatkiem student-Polak zagranicą, a zwłaszcza ambitniejszy — a oni tam tacy wszyscy — dotknięty chorobą, pozbawiony, co się bardzo często zdarza, pierwszej pomocy od niezamożnej rodziny, opiekuna, taki do-

prawdy bywa wtedy bardzo często w położeniu dosłownie bez wyjścia.

Młodzież tej kategorii nieraz przechodzi, choćby i pod pięknym niebem południa, rzeczy nie do uwierzenia.

Znam osobiście „te rzeczy”. Sprawdzałem.

Oto zdolny, pracowity student politechniki w czasie egzaminów siedzi już drugi tydzień w izdebce o suchym chlebie, o ten rodzaj chleba mniejsza, ale do Instytutu na egzaminy (!) nie idzie, bo nie ma butów. Znoszone do ostateczności wprost spadły mu z nóg.

Przytaczano mi fakty, nazwiska, że w Zurichu studentki-Polki mdlały na wykładach z głodu. Bywa kategoria i takich, którzy spędzają noc i nieraz tygodniami w parkach w „czarownej okolicy”, nie mając, wyszedłszy z gmachów szkolnych, złożyć gdzie głowy nocą... A może jeszcze bywa gorzej, gdy uciekają się aż do niecnoty w tej namiętnej żądzy... chleba i snu.

I czy to nie tragedye? I do tego w zaraniu życia. I czy takie rzeczy, rujnujące młode, nieraz i bez tego słabowite siły fizyczne i nieukształtowane moralne, zatruwając serca gorczą naszą młodzi względem świata, kraju i ludzi, powinny być nam obojętne?!

\* \* \*

Nie może być dwóch zdań o tem, że lepiej byłoby, żeby... tego wszystkiego nie było, t. j. żeby, jak w Anglii, w Danii, młodzież nie żyła z ofiar; bo koniec końców darmo cha deprawuje charakter, a sama litość, jak mówi Żeromski, to zawsze „brud rąk”. Ale cóż poradzić na to, jak obecnie? Tedy łagódźmy i tę ranę społeczną, choćby i „brudną ręką”, ale skutecznie.

I znów powtarzam swoje, łagódźmy bodaj egoizm, bo wolę dawać brudną ręką, niż brać czystą.

\* \* \*

Prawię nie jakieś morały. W te nie wierzę.

Ale jedynie głęboko odczuwany we własnem sumieniu obowiązek wysuwa przed oczy kołu czytelników naszych wszystko tamto. Myśl obleka się w danej kategorii w czyn, a co ten sprawi, to już jego rzecz. Sprawi. Bo, jeśli na wielkim Sejmie zebrane stany usłyszały przegorzkię słowa, głos Wawrzeckiego:

*Szlachcic polski z mlekiem matki wyszał zasadę, jako nic dawać nie powinien* (coś zupełnie podobnego, jak Piotr IV, który od stanów aragońskich usłyszał: „My, chrześcijańscy poddani, poczytujemy się za wolnych, a pieniądze dawać to rzecz Żydów i Maurów). Za to cały naród z ust ukochanego Kościuszki otrzymał taką atestacyę:

*Nie może być żaden naród skłonnijszym do czynienia dobrze każdemu, jak naród polski, kiedy tylko sam swoją wolę czynić może.*

A chwalić Boga, choć w tem jednym — w dziedzinie czynienia dobra, ofiarności mamy swoją i dziś wolę.

Piekło i szatani nie pozbawią nas tych praw stanu.

Odzywam się więc śmiało i napewno do ogółu polskiego, bez różnicy klas, wyznań, partyi, w imię drogiej każdemu z nas, a wyżej przytoczonej opinii „Naczelnika”, a stąd płynącego rozkazu o składki na niezamożną, kształcąca się zagranicą na obczyźnie naszą młodzież.

*Sieprawki lubelskie.*







FROLDFIORD  
Z Salonu S. Kulikowskiego

WŁODZIMIERZ NAŁĘCZ

BOLESŁAW PRUS:

# D Z I E C I

POWIEŚĆ.

43)

Ileż to razy od kilku dni Świrski powtarzał, że jego odpowiedzialność wobec kolegów jest prawie żadna! Czy on winien, że z pod Słomianek wrócili do miasta?... Czy nie zawsze radził wszystkim, ażeby nie trzymali w domu nic kompromitującego? żadnych rewolwerów, nabożów, ani papierów?... Czy on kazał porozumiewać się z Zajązkowskim i uciekać z nim, gdy napadł i pozabijał straż, prowadzącą ich do ratusza?

Tego wieczora usłyszano w głębi lasu kilka wystrzałów; panna Jadwiga zbladła, Świrski zerwał się od stołu i przyniósł z kancelaryi brauning; ale uspokoiła ich Linowska, mówiąc, że prawdopodobnie chłopci polują.

— Uważam to za dobrą wróżbę — zakończyła. — Jeżeli polują nie w dzień, lecz w nocy, znaczy, że się boją. A jeżeli kłusownicy boją się, wówczas my możemy być spokojni.

W nocy nie zaszło nic osobliwego; nawet psy mniej szczekały, niż zwykle. To też, gdy rano wylekniiona panna Jadwiga w wielkiej tajemnicy powiedziała Świrskiemu, że o świcie kręcił się między budynkami jakiś podejrzany człowiek, który twierdził, że szuka służby, Kazimierz uśmiechnął się lekceważąco:

— Już i ja zaczynam być pewien, że nas nikt nie napadnie... Leśniczówka leży

na boku od rozmaitych traktów i chyba nie przedstawia nic ciekawego dla bandytów.

— Cóż też pan mówił... Okolica jest przekonana, że państwo Linowscy są bardzo zamożni... I obawiam się, że, jeżeli kogo, to ich najpierwej mogą napaść...

Cały dzień niebo wyglądało, jak szara płachta, po której od czasu do czasu przesuwały się ciemne obłoki, sypiące śniegiem. Około trzeciej uspokoiło się, i Jadwiga zaproponowała Świrskiemu przechadzkę.

— Dla mnie jest to największa uroczystość, kiedy pani bierze mnie ze sobą — rzekł Świrski.

— W takim razie powinnam była wczoraj wziąć pana ze sobą. Wyglądał pan na tak przygnębionego, że... otwarcie powiem: zrobiło mi się żal...

— Gdybym panią znał dawniej, albo... gdybym miał, na przykład, siostrę podobną do pani... kto wie, czy nie ominęłaby mnie niejedna wielka przykrość, i — czy nie popełniłby mniej głupstw...

— Pan?... pan miałby popełniać głupstwa!... — zawołała zgorszona Jadwiga.

— Kto wie — mówił Kazimierz, spuściwszy głowę — kto wie, czy mój pobyt tutaj i wszystkie kłopoty, jakie spadły na mnie i na innych ludzi, a może i jeszcze spadną, nie są rezultatem wielkiego głupstwa, którego nie zrobiłbym, gdybym mógł nara-

dzać się z kimś bliskim, gdybym musiał rachować się z kimś... kogo kocham.

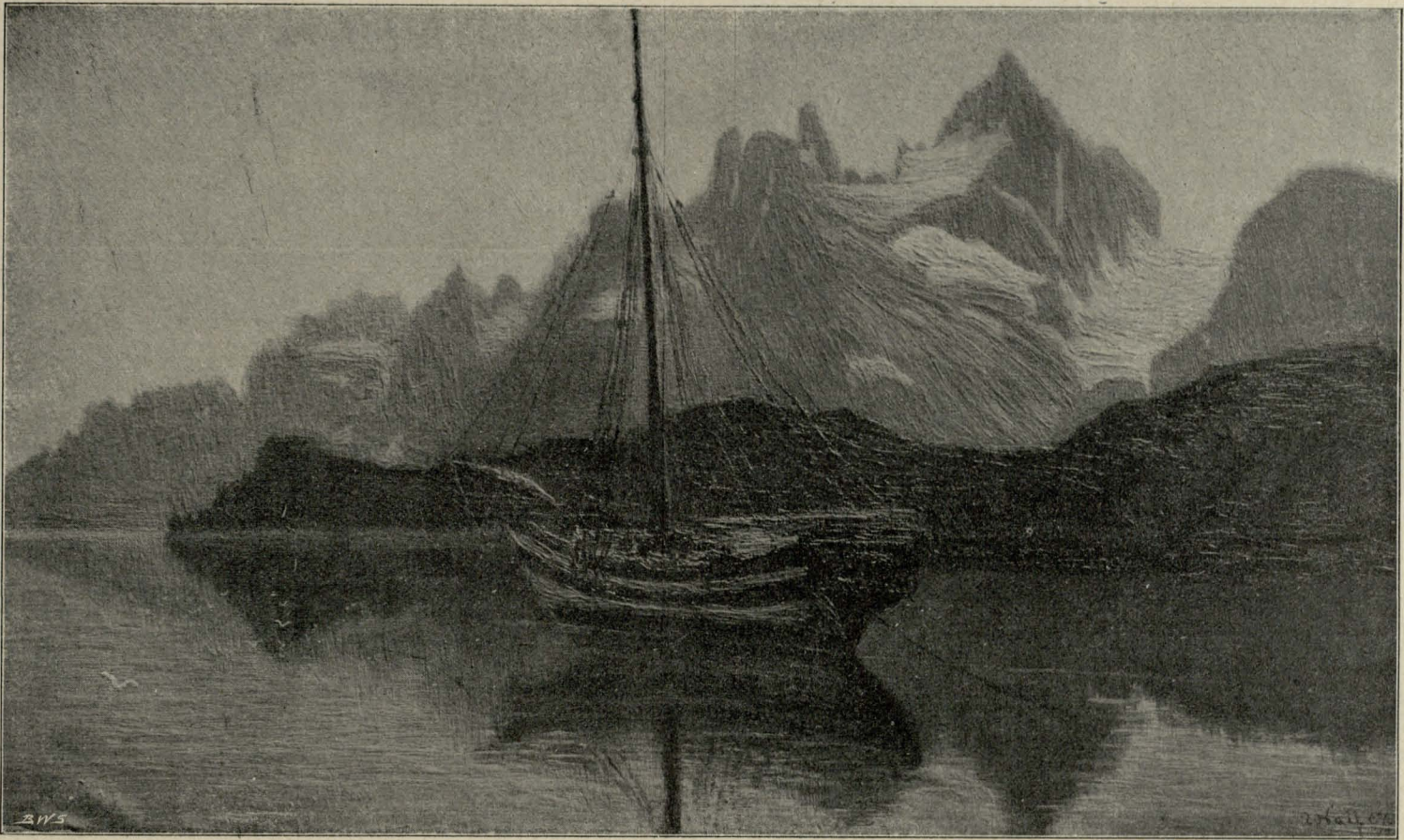
— A pański stryj?... —

— Między stryjem a mną, pomimo wielkiego przywiązania, zawsze stał jakiś parkan. Ja z nim nigdy nie mógłbym rozmówić się tak szczerze, jak naprzykład... z siostrą, którą kochałbym... Słuchając pani Linowskiej, nieraz przekonałem się, że kobiety posiadają jakiś cudowny, proroczy instynkt... Moja siostra, czy też inna... osoba ukochana miałaby taki sam instynkt... radziłaby mi, a ja zawsze posłuchałbym jej... Bo pani rozumie, że najchętniej słucha się tych, którym nie chcielibyśmy zrobić przykrości...

— Pańska siostra byłaby bardzo szczęśliwa! — szepnęła Jadwiga.

— A ja jeszcze bardziej... Nie męcztyby mnie kwestye: co czynić?... Prostu zapytałbym jej, a ona dałaby mi najlepszą radę... Nie zrobiłbym w życiu nic złego, bo zawsze myślałbym, ażeby jej nie wyrządzić przykrości... Ona dodawałaby mi odwagi w chwilach upadku ducha, a gdybym przyszedł do niej tak nieszczęśliwy, jak byłem wczoraj, uspokoiłoby mnie jedno dotknięcie jej rączki... jeden pocałunek...

— Pan ciągle myśli czekać na swoich kolegów?... i nie wyjechać zagranicę przed wyprawieniem ich?... — przerwała zmieszana Jadwiga.



## BARKA

Z Salonu S. Kulikowskiego

WŁODZIMIERZ NAŁĘCZ

— Wie pani, że zaczynam jakby zmieniać ten zamiar... Chyba już usłucham Dębowskiego, ponieważ przypuszczam, że on więcej potrafi zrobić dla ich ocalenia, aniżeli ja sam...

— Przyznam się panu, że i ja tak myślę—pochwyciła Jadwiga. — Dawniej, pamięta pan? byłem innego zdania... Ale dziś... kto wie, czy nie byłoby najlepiej, gdyby pan, choć na kilka tygodni, wyjechał do Galicyi... Zrobi pan to?...

— Jeżeli pani tego ode mnie zażąda...

...Panie!... — krzyknęła nagle Jadwiga zmienionym głosem i konwulsyjnie schwyła go za rękę. Usta jej pobladły, a w ogromnych oczach widać było przerażenie.

— Co pani jest?...—zapytał zdziwiony Świrski.

— Tam... i tam!... — mówiła, wskazując w głąb lasu.—O, jeszcze i tam...

Tuliła się do jego ramienia, drżąc całym ciałem.

Była blisko czwarta po południu, w lesie rozścielał się zmrok. Świrski spojrzał z uwagą i o kilkadziesiąt kroków przed sobą spostrzegł jakąś postać ludzką, kryjącą się za drzewem. Po chwili za innym drzewem ujrzał kogoś drugiego, a na lewo ode drogi—znowu dwie ciemne postacie... Machinalnie wy dobył brauning, ale Jadwiga przytuliła się do niego jeszcze mocniej i, prawie przyłożywszy mu usta do twarzy, szepnęła drżącym głosem:

— Na miłość Boską, jeżeli pan strzeli... umrę!...

Świrski odsunął ją.

— Więc cóż mam robić?... — zapytał niecierpliwie...

— Uciekajmy... Idźmy do domu...

— Idźmy...

Zawrócili i szli w stronę Leśniczówki, nie śpiesząc się. Gdy przeszli kilkaset kroków, postacie znikły.

— Widzi pani, że już niema nikogo...

Jadwiga uwiesiła mu się u ręki i zaczęła śmiać się nerwowo.

— Tchorz jestem, prawda?... Ale... ach!...—westchnęła—pan powinien mi wybaczyć... Tak często myślę o grożących panu niebezpieczeństwach i tak ich się lękam, że... już nie wiem, co się ze mną dzieje. Dawniej byłam odważniejsza...

Staniała się tak, że Świrski musiał ją wpół objąć i prawie ciągnąć. Dopiero, gdy zbliżyli się do Leśniczówki, gdy zobaczyła furmana, parobka i gajowego, a nadewszystko—panią Linowską, uspokoiła się trochę.

— Ach, pani, cośmy widzieli!...—zawołała Jadwiga.

— Paru ludzi przeszło przeszło przez las...—pochwycił Świrski—a panna Jadwiga przelękała się...

W tej chwili rozległ się gwizd, a z poza domu, z poza kuchni, z poza budynków gospodarskich i z lasu wybiegło pędem kilkunastu ludzi, krzyczących:

— Stać!... ręce do góry!...

Parobcy, gajowy, nawet dziewczęta natychmiast spełniły rozkaz. Świrski w pierwszej chwili nie rozumiał, co się dzieje; lecz, gdy spostrzegł, że napastnicy pędzą w stronę Linowskiej i Jadwigi, stracił przytomność. Czuł, że spełnia coś niedorzecznego, czy niestosownego, lecz, nie mogąc powstrzymać się, nagłym ruchem wy dobył z kieszeni brauning i zawołał:

— Kto przystąpi do kobiet, strzelę w łeb!...

Kilku najbliższych zatrzymało się, dalsi biegli... Teraz dopiero Świrski spostrzegł, że ludzie ci są uzbrojeni: jedni w krótkie karabinki, inni w rewolwery. Ogarnęła go rozpacz i jakiś szalony zapał, więc, nie namyślając się, zmierzył w gromadę i czekał. Na dziedzińcu było tak cicho, że wyraźnie słyszał bicie własnego serca.

„Otóż i śmierć“... — przemknęło mu przez głowę. Nagle usłyszał młodzieńczy głos znajomy:

— Kaziu, nie strzelaj... to my!...

Po czym huknął potężny bas:

— Chwat, psiakrew!... Stawaj we front!...

Gromada napastników w oka mgnienia uszykowała się we dwa szeregi. Naprzód wysunął się ogromny człowiek w burce i wołał w dalszym ciągu:

— Pan Świrski, nasz naczelnik, niech żyje!...

— Niech żyje!... niech żyje!... niech żyje!...—trzykrotnie powtórzyła banda.

— Jezus Marya!... Jezus Marya!... co oni mówią?...—szepnęła Linowska, zasłaniając uszy.

Z końca szeregów oderwało się dwu młodych ludzi i z wyciągniętymi rękoma przybiegli do Świrskiego.

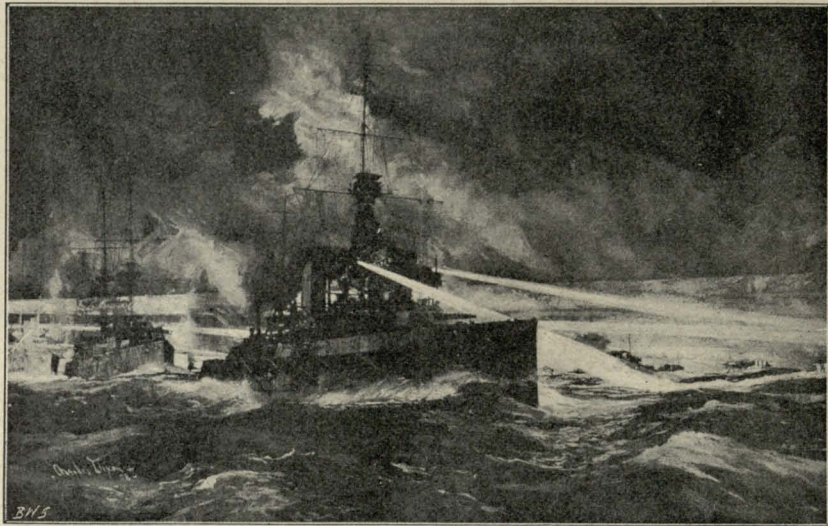
— Kaziu...—wołali—to my... to my!...

Świrski schował brauning i zaczął ścisnąć się z nimi.

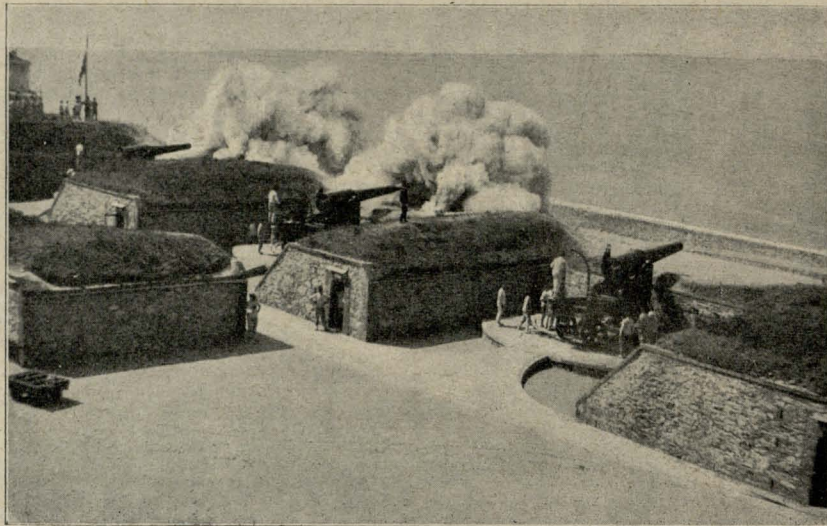
— To ty, Pawle?... ty, Waciu?... jakżeście się zmienili... co za tęgie chłopcy!... Cóż wy tu robicie?...

— Jesteśmy w oddziale kapitana Zajczkowskiego...

(DCN)



Bitwa morska.



Bateria nadmorska.

## Z dziejów wojny.

Lekko i potocznie płyną nam dialogi o przewidywanych wojnach, które wobec faktów i wydarzeń obecnej doby zdają się być coraz bardziej nieuniknionymi w bliskiej już przyszłości, a jednak rzadko kto się zastanawia, iż, wobec nieustannych „ulepszeń” oręża mordowania, stają się one coraz potworniejszym barbarzyństwem wśród zjawisk współczesnej kultury chrześcijańskiej.

Z każdym dziesiątkiem lat przybywają coraz to nowe niszczycielskie maszyny, a myśl ludzka, pełzająca w wielu wypadkach, jak żółw, szybuje wciąż, jak orzeł, w dziedzinie techniki wojkowej. Dość tylko porównać oręża i sposób prowadzenia walki z epoki wielkich bojów świata klasycznego z tem, co dzieje się podczas wojny współczesnej, aby aż nadto przekonać się, iż wszystko od początku do końca uległo radykalnej zmianie. Dziś postępy techniki zupełnie zrewolucjonizowały stary system bojowy, który wytworzył się wtedy, gdy nieprzyjaciół stykał się jeszcze z sobą oko w oko, a męstwo i poświęcenie stanowiło o tryumfach i zwycięstwie. Dawne narzędzia wojkowe oraz sposoby prowadzenia walki wydają się obecnie dziecięcą igraszką, tem więcej, że i teraz kosztowne flotyle, gdzie każdy pancernik pochłonął przeszło 20 milionów rubli na wybudowanie, po 10—12 latach przedstawiają już w oczach marynarzy zbiór starych rupieci, zdalnych jedynie do przetopienia na świeży metal.

Ciekawe dane co do współczesnej wojny odnajdujemy w obszernym studium generała niemieckiej piechoty von Blume, który pracę swą zamieścił niedawno w wydawanym przez sztab generalny kwartalniku *Vierteljahresheften für Truppen-*

*führung und Heereskunde*. Studium autora tem więcej staje się interesującym wogóle, iż niemiecki generał głównie zajmuje się tem, o ile warunki powodzenia w przewidywanej wojnie zmieniły się dla Niemiec od r. 1871.

W uprzednich wojnach Prusy miały do czynienia ze słabszymi naogół przeciwnikami, podczas gdy dziś wszystkie ościennie mocarstwa mają wojsko, tworzące, tak samo jak niemieckie, rdzeń na-

prócz tego niesłychany rozwój techniki wojennej i ulepszeń broni. A więc można sobie wyobrazić, o ile gwałtowniejszym stanie się charakter, przebieg oraz skutki przewidywanej wojny!

Postęp cywilizacji i kultury żadnego w tym wypadku nie będzie miał wpływu, gdyż w części ten właśnie postęp doprowadził do takiego wzmożenia się sił wojennych; wyższa kultura potrzebuje silniejszej obrony z jednej strony, z drugiej zaś ta właśnie kultura wyszukuje coraz straszliwsze środki i sposoby zniszczenia. Mimo to z wzrostu sił bojowych wyłania się jednak pewien humanitarny zysk, ponieważ zdecydowanie się na wypowiedzenie wojny jest dzisiaj rzeczą bardzo trudną.

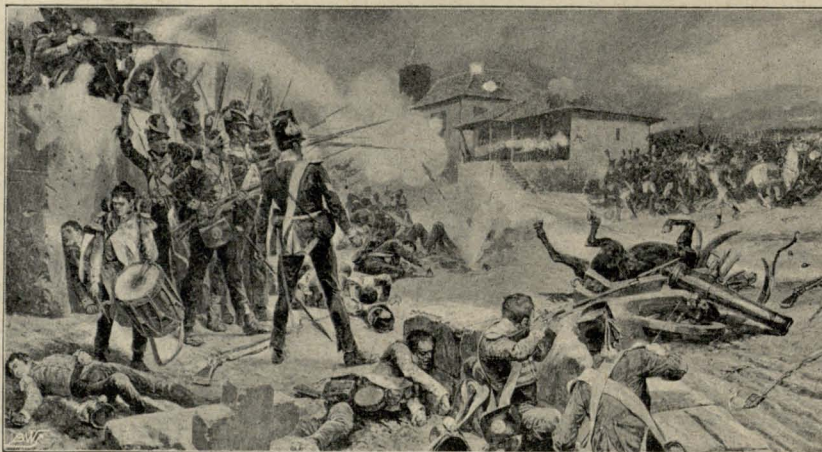
Co do kosztów współczesnych wojen, to pochłaniają one bająskie sumy. Wojna rosyjsko-japońska kosztowała Rosję 4,605 milionów marek, a Japonię 2,424 miliony. Jednak według wyliczeń generała von Blume przyszłe wojny będą pociągały takie wydatki, jakie z dawnymi nawet porównane być nie mogą.

Koszty przewidywanej wojny Niemiec w przeciągu roku wynosiłyby 6 miliardów marek, nie wliczając w to dostaw żywności, któreby musiał ponosić kraj.

Widzimy więc, że wojna współczesna coraz szybciej przeistacza się w potwornego molocha, pochłaniającego całe skarby materialne i tysiące ludzkich istnień w sile wieku i młodości.

Dziwna zaiste ironia panuje w losach społeczeństw, boć przecież każde z nich wistocie rzeczy marzy tylko o spokoju i cichej, zbożnej pracy...

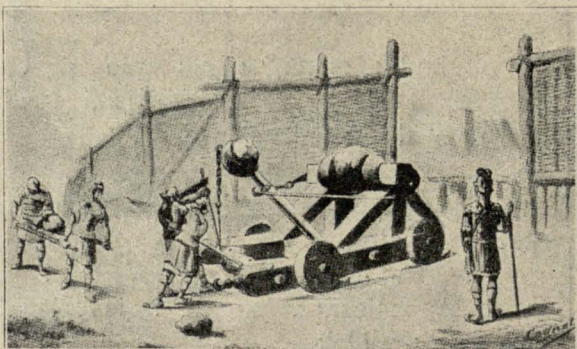
REMY.



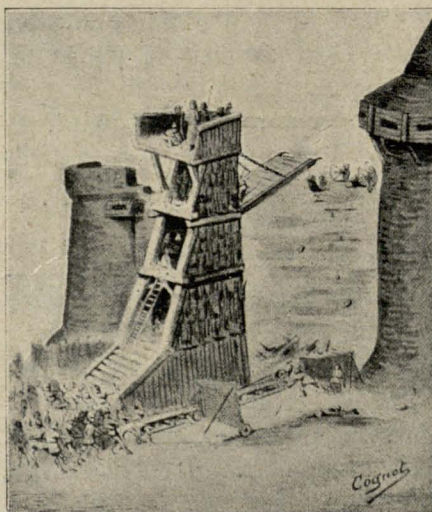
Bitwa na lądzie.

rodu. Co prawda, dzisiaj Niemcy mogą wystawić daleko liczniejszą armię, sięgającą do 5 milionów dobrze wyćwiczonych żołnierzy, ale w równorzędnym stosunku liczba ta wzrosła i w innych państwach.

Do tych przeważających swą liczebnością mas ludzi, dla których poruszenia zupełnie innych, niż dawniej, potrzeba zarządzeń, dochodzi jeszcze



Taran mechaniczny.



Wieża ruchoma.



Taran ręczny.



1) Wjazd króla Piotra serbskiego do stolicy. 2) Konnica serbska. 3) Następca tronu serbskiego. 4) Pałac królewski w Belgradzie. 5) Dowódca gwardii przybocznej króla. 6) Piechota serbska.

## Serbia współczesna.

W kotle bałkańskim wrzenie nie ustaje... Po Bułgarach bohaterami chwili stali się obecnie Serbowie, przykuwając do swoich działań baczną uwagę prasy i dyplomacy. Nic też dziwnego, bo współcześni Serbowie to naród, który mocą swoich warunków i położenia, w jakim się znajduje, zgotować może cały szereg zupełnie nieprzewidywanych powikłań i niespodzianek w dzisiejszej sytuacji politycznej.

Liczebnie Serbowie, a właściwie Serbo-Chorwaci, rozpatrywani jako jeden naród, sięgają do 10 milionów. Z tego zaledwie mała część, gdyż niespełna 2 i pół miliona, znajduje się w niezawisłym królestwie serbskim, pozostali zaś przeważnie znajdują się pod panowaniem Austrii (do 6 milionów) oraz Turcji. Istnieje jeszcze, co prawda, niepodległe księstwo czarnogórskie, lecz, rozporządzając zaledwie 300 tysiącami poddanych, nie może być brane pod uwagę, jako poważna jednostka państwowa. Wobec takiego partykularyzmu politycznego, o ileby cały współczesny naród serbski złączył się razem, nie zważając na kordony graniczne, w imię wspólnych ideałów i haseł, mógłby wytworzyć poważne zamieszanie i w Austrii, i w Turcji. Panserbizm jednak na ziemiach serbo-chorwackich należy do najmniej popularnych haseł, gdyż żaden może z narodów współczesnych nie nosi na sobie tak głęboko wrytego piętna partykularyzmu nie tylko politycznego, lecz i kulturalnego, jak Serbo-Chorwaci.

Przedewszystkiem sama nazwa „Serbo-Chorwaci” jest tylko określeniem książkowym, zgola obcem wśród ludności, która mianuje się albo Serbami, albo Chorwatami, przeciwstawiając jednych drugim. Antagonizm na tem tle uwydatnia się bardzo jaskrawo, a szczególnie w prasie, gdyż politycy i publicyści z grona Chorwatów starają się nadać poważniejsze i szersze znaczenie swojej połowie, Serbowie zaś swojej. Tak że więc właściwie, pomimo wspólnego literackiego języka, Serbo-Chorwatów, jako zwartej organicznie narodowości, niema, gdyż istnieją dwa rywalizujące ze sobą o palmę pierwszeństwa zbiorowiska: Serbowie i Chorwaci. Bardzo jaskrawo zaznacza się to w zaanektowanej obecnie Hercegowinie i Bośni, jak niemniej na całym terytorium serbo-chorwackim. Zupełnie ściśle geograficzne rozdzielenie obudwu nazw jest zgola niemożliwe, gdyż Serbowie i Chorwaci zmieszani są ze sobą, tak że i w nauce już z górną 25 lat trwa nadaremny spór o to, co jest chorwackie, a co serbskie.

Prócz partykularyzmu politycznego i narodowego, wśród Serbo-Chorwatów istnieje jeszcze głęboko sięgający partykularyzm religijny, gdyż należą oni do trzech wojujących ze sobą kościołów: prawosławnego, katolickiego i mahometańskiego. To zróżnicowanie religijne także stwarza szereg nowych jeszcze antagonizmów, obejmujących dziedziny życia społecznego, naukę, literaturę i sztukę.

Wobec takich warunków trudno jest przypuścić, aby cały serbsko-chorwacki naród, jako zwarta masa, skupił się w imię wspólnego celu i razem ręka w rękę podążył ku jego urzeczywistnieniu. W każdym jednak razie pewne ogólne zamieszanie zaznacza się dziś we wszystkich ziemiach serbo-chorwackich, a szczególnie w królestwie serbskim, które nie ukrywa swej antypatii do monarchii austriackiej. Bohaterem dnia w Belgradzie coraz bardziej staje się następca tronu serbskiego, książę Jerzy. Z zapalem organizuje on obecnie chorągwie legii ochotniczych, a entuzjazm młodzieży, śpieszącej w ich szeregi, znajduje swój wyraz w burzliwych owacych, urządzanych przed pałacem następcy tronu, który przemowami swojemi podsyca bardzo wojowniczo

nastrój ludności. Na takim tle coraz niekorzystniej odbija się postać króla Piotra, który, czując swe odosobnienie i brak sympatii, prawie bojaźliwie unika wszelkiej sposobności zetknięcia się z ludem. A książę Jerzy nabiera tymczasem coraz więcej popularności, mogąc wkrótce odegrać poważną rolę w tych przewrotach, jakie wydają się wprost nieuniknione w państwie serbskim. Wogóle książę Jerzy stanowi typ nieprzeciętnej jednostki—mały Neron, albo mały Napoleon w perspektywie. Urodził się dnia 9 września 1887 r. w miejscowości Rjeka w Czarnogórze i, mając 18 lat, uznany został za pełnoletniego i jako podporucznik wcielony do armii. Wykształcenie pobierał w rosyjskim korpusie gwardii, lecz nie wywarło ono dodatniego wpływu na żadnego władzy młodzieńca, ale przeciwnie, umocniło jedynie brutalne popędy, zwłaszcza zaś przesadną zarozumiałość, opierającą się na niezaprzeczonej odwadze osobistej. Książę Jerzy, jak opowiadają o nim w Belgradzie, nadmiernie lubi wino i kobiety. Na tem tle miał cały szereg zajęć i brutalnych w swej treści awantur. Bądź co bądź, wszyscy jednak przyznają, że jest to młodzieniec, posiadający znaczne zdolności, osobistą odwagę i temperament, a więc materyał na małego Nerona, lub Napoleona.

Obecnie książę Jerzy całkowicie pochłonięty jest przez bojowe przygotowania do wojny z Austrią. Nie mniej wrogo względem Austrii usposobiona jest i sąsiednia Czarnogóra, a nawet na tle tego rozwinął się już ostry antagonizm, jaki do niedawna panował w stosunku do Serbii, gdzie jakoby był projektowany zamach przeciwko osobie księcia czarnogórskiego Nikity. Obecnie zapanowały nanowo przyjazne stosunki, a książę Nikita, jak donosi jedno z pism niemieckich, miał wysłać podobno do Serbii depeszę tej treści: „Jeżeli armia wasza wyruszy nad brzegi Driny, to wojska moje pociągną do Hercegowiny”.

Co prawda, dziwnie wygląda to wszystko wobec potęgi militarnej Austrii, jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż Czarnogóra, posiadająca 9080 kwadratowych kilometrów powierzchni i 250 tysięcy mieszkańców, może w razie wojny wystawić armię, złożoną z 36 tysięcy ludzi w piechocie i 1,200 w artylerii. Przytem uzbrojenie bojowe pochodzi z roku 1895 i darowane jest przez Rosyę. К

REMIGIUSZ KWIATKOWSKI:

## Z antologii serbskiej.

MIKOŁAJ I, KSIĄŻĘ CZARNOGÓRSKI

Tam...

O tam, wraz ze mną—za te góry,  
Gdzie dumnie stał władków tron,  
I trwał od wieków bój ponury,  
Co miasto zwycięstw zsyła zgon!

O tam, wraz ze mną!

Pod Prizroną

Odżyje pieśń minionych ech,  
Bo z mieczem w dłoni nam sądzono  
Powrotnie wejść do dawnych strzech!  
A choć dziś w gruzach tron wspaniały,  
Lecz czas wrogowi wieścić już:

— O uchodź stąd i oręż złoś,  
Bo cię rozmiądzą górskie zwały!

O tam, wraz ze mną—za te góry...

Tam naszych ojców cudny kraj,  
Ten obiecany ziemski raj,  
Kędy Deczany patrzą w chmury...

Srebrem i złotem lśnią błękity  
Ponad doliną, gdzie trwał bój...

O ludu, nowy oręż kuj  
Na przyszłą sławę i zaszczyty!  
Wszak słyszysz!... Tam poza górami  
Południe ciągle wzywa nas,  
A iść na pomoc wielki czas,  
Bo wróg z adepce je nogami!

A więc wraz ze mną!..

Turków kości

Zgruchoce znów słowiańska broń,  
A dotąd jej nie puści dłoń,  
Aż wszystkim błysnie dzień wolności!

I przyjdzie zemsty chwila święta...

Tam, gdzie Miłosza zawarł grób,  
Polegnie wróg u naszych stóp,  
I spadną kajdan ślizgłe pęta...



Czarnogórcy w pochodzie wojennym w towarzystwie żon, niosących żywność i amunicję.



PORTRET

ST. LENTZ



ŚLAD

H. WEYSENHOFF

## Z wystawy „Zera”.

Dnia 1 b. m. związek artystów polskich „Zero” otworzył swą wystawę w salonach krakowskiego Tow. sztuk pięknych. Oddawna zapowiadana wystawa „Zer” obudziła wielkie zainteresowanie. W salach krakowskiego pałacu sztuki zaroilo się też od ciekawych, którzy stamtąd nie wyszli rozczarowani. Wystawa nie imponuje ilością obrazów, ale budzi bardzo sympatyczne wrażenie starannym ich doбором, dzięki któremu tworzą one pewną organiczną całość, mimo że indywidualności wystawiających artystów tak są wybitne, utrwalone i różne.

Prezes „Zera”, p. Wojciech Kossak, obok typowego dla swej twórczości obrazu z Litwy w r. 1812, przedstawiającego żołnierza rannego na koniu, dał barzajmujący *à la* Velasquez stylizowany portret p. Ireny Solskiej w roli Infantki z „Cyda”. Jacek Malczewski, obok niewielkiego tryptyku, wystawił śliczny obrazek, który uznał za stosowne nazwać śmiercią. Wielki ten artysta wyobraził sobie śmierć w mało odstraszej postaci młodej dorodnej dziewczyny z kosą w ręku, którą namalował z właściwym sobie mistrzostwem. Tetmajer, obok znanego swego *genre'u* „bajecznie kolorowych bab” w „Świeceniu ziela”, dał obraz bardzo szlachetny w sentymencie i subtelny w pojęciu, przedstawiający dziewczynę przy fortepianie. Henryk Weyszenhoff obudził powszechne zajęcie swoim „Śladem”. Bardzo prosty temat obrazu—kruki, unoszące się nad krwawym śladem na brudno-szarym śniegu, opracowano tu w sposób, który wywołuje na widzu głębokie wrażenie. Dwa kapitalne portrety Lentza i „Powrót z polowania” Brandta, zalecający się wszystkimi cechami tego znakomitego malarza, kilka zajmujących bardzo i szczerych rzeczy Krasnowolskiego dopełniają obrazu pierwszej sali.

W drugiej sali panuje Wlastimil Hoffmann. Młody ten artysta, którego talent niepospolity dawno już obudził powszechne zainteresowanie, wystąpił tu z szeregiem dzieł, które dowodnie świadczą o tem, że drogami, które ten śmiały twórca sam sobie wytyka, kroczy on coraz śmielej i pewniej. Jego „Melancholia”—naga kobieta, siedząca w nieruchomej, sztywnej postawie na wysokim stołcu wśród opustoszałego cmentarzyska, z czaszką trupa na łonie, zajmuje równie pod względem czysto malarskim, jako też myślowo-uczuciowym. To samo powiedzieć można o wszystkich innych jego obrazach, w których doskonale kojarzą się ze sobą wielka wrażliwość na barwę, wysoki artyzm malarski ze zgoła niepospolitym umysłem.

Do katalogu wystawy dodano wstęp, w którym wyjaśniono pobudki powstania „Zera” i jego cele. Czytelnikom *Tygodnika Ilustrowanego* są one znane z wywiadu z prezesem „Zera”, p. Kossakiem, który zamieściliśmy w czerwcu b. r. Tu więc przypomnimy tylko krótko, że nowa ta organizacja artystyczna nie opiera się na żadnych wspólnych jej członkom kanonach estetycznych, lecz jest związkiem ściśle zawodowym, nie przeciwstawiającym się bynajmniej innym tego ro-

dzaju związkom. Wobec tego nie można od „Zera” wymagać, aby wcielało ono jakieś wyraźnie zindywidualizowane dążności artystyczne. Przeciwnie, indywidualności swoich członków pozostawia ono najzupełniejszą swobodę, czego najlepszym dowodem jest obecna wystawa z jej bardzo rozległą skalą temperamentów, metod i kierunków artystycznych.

## Wśród sektantów.

Wśród chaosu i zamętu, jaki zapanował w życiu naszego społeczeństwa w ostatnich kilku latach, zaczęły się ujawniać rozmaite nieoczekiwane fakty i zjawiska. Do takich należy powstawanie sekt religijnych, oraz szerzenie się antagonizmów na tle wiary wśród ciemnych przeważnie mas naszego wiejskiego i miejskiego ludu.

Co prawda, pewien udział w tych nowatorskich dążeniach współczesnej doby wzięły również niektóre jednostki z pośród inteligencji. Rzecz miała się w sposób następujący.

W r. 1906 w Hamburgu odbywał się zjazd zjednoczenia międzynarodowego okultystów-magów, którego członkowie postanowili skorzystać z trwającego podówczas fermentu rewolucyjnego w państwie rosyjskim, przypuszczając, iż opiera się on na podkładzie ściśle duchowym i moralnym. Zbadawszy jednak sytuację na miejscu, doszli do wniosku, iż zasadnicze pobudki rewolucyjne są nawskroś materialne i nie mają nic wspólnego z reformatorskimi dążeniami w sferze zjawisk oderwanych. Przy okazji, wracając z nieudanej wycieczki, nawiązali u nas stosunek w Warszawie z niejakim p. Wojciechowskim, oddawna zajmującym się praktykami okultystycznymi i spirytystycznymi, polecając mu zorganizowanie towarzystwa, któreby miało na celu popieranie i współdziałanie wszelkim ruchom reformatorskimi w dziedzinie ducha.

Jakoż wkrótce powstało u nas pierwsze pod tym względem pole działania, gdyż na scenę współczesnego życia wysunęli się maryawici, i zorganizowana już grupa okultystów zaczęła ich popierać. Wraz z rozwojem ruchu maryawickiego zaczęło coraz bardziej powstawać i szerzyć się religijne sekciarstwo, wysuwając coraz to nowych natchnionych proroków, którzy mnożyli się, jak grzyby po deszczu, a każdy najbardziej był nieomylny i najwięcej posiadał cudownej mocy. W Błoniu pod Warszawą w charakterze reformatora zaczął występować młynarz Stolarski, cały swój nowy systemat religijny opierając jedynie na Biblii i Apokalipsie św. Jana, w Siedlcach znowu niejaki Prejs, który w myśl hasła: „duch światem rządzi” wykombinował coś w rodzaju religii sumienia, opierając ją na wierzeniach rosyjskich sekciarzy sztundystów. Prócz nich słyhać było jeszcze o kilku prorokach i posłannikach, którzy również zajęci byli fundowaniem nowych podstaw religii i wiary.

W ostatnich czasach do liczby reformatorów przybywa jeszcze jeden, niejaki Kot, który gorliwie szerzy

swoją działalność wśród ludności fabrycznej Sosnowca, oraz sąsiadujących z nim okolic.

Najnowszy ten prorok jest rodem Mazur z mińskiej gubernii. Przez długi czas przebywał w Moskwie, gdzie pracował w przedsiębiorstwach handlowych. Przyjechawszy do Królestwa, odbył wycieczkę na Jasną Górę i od tej pory na stałe osiedlił się w Sosnowcu, pracując, jako prosty robotnik w fabrykach. Już przed sześciu laty miał w Sosnowcu proces o szerzenie sekciarstwa, wytoczony mu przez miejscowego proboszcza, lecz został uwolniony od odpowiedzialności i od tego czasu gorliwie szerzy swoją propagandę, werbując sobie zwolenników wśród całego Zagłębia. Podobno podtrzymuje stosunki z jakimś księdzem w Ameryce, który niedawno nawet odwiedzał go w Sosnowcu. Ksiądz ten jest jakoby zakulisowym reżyserem całego posłannictwa i cudownej misji Kota.

Zewnętrznie Kot wywiera bardzo niemiłe wrażenie, jako kontrastowe połączenie typu mazurskiego z mon-



Robotnik Kot, twórca sekty bezkościelnych.

golskim. Ma siwe, cokolwiek skośne oczy, prosto stojące czarne włosy i wybitnie wystające kości policzkowe. Posiada jednak bardzo płynną i ognistą wymowę, aczkolwiek akcentuje z rosyjska, wymawiając zamiast „o” dźwięk „a”, jak np. atworzyć i t. d. Liczba zwolenników jego sięga obecnie, jak twierdzą niektórzy, do 20,000. Są to tak zwani ogólnie „kotowcy”, którzy jednak sami siebie nazywają „bezkościelnymi”, gdyż kościół uznają jedynie wewnątrz, w duchu, a papieża i hierarchię kościelną o tyle, o ile jest doskonała.

„Kotowcy” obecnie stali się przedmiotem gorącej opieki ze strony grupy okultystów, której zadanie polega na popieraniu i współdziałaniu wszelkim zjawiskom tego rodzaju.

R. K.

**Wszystkim rocznym prenumeratorom „Tygodnika Ilustrowanego” po opłaceniu przedpłaty za kwartał IV r. b. rozesłane będzie premium za rok bieżący.**

## Pojedziemy na łów...

Z CYKLU: „WIEŚ”.

*Pojedziemy na łów, czytelniku mój!*

Gdzie? Chciałoby się do Białowieży, do Niepomskiej, do Nalibok, a choćby do Kampinoskiej...

Cóż? Nie czasy Wojskiego! kiedy to „zwierzę, nie mające kłów, rogów, pazurów”, zostawiano dla płatnej służby... Dziś nie wstyd „wziąć do ręki strzelbę, do której sypano śrut cieni”, bo zresztą już się śrutu



Ks. Karol Radziwiłł z obłąkowanym niedźwiedziem.

nie sypie. Ładunki gotowe... Broń *Anson i Deceley*. Lufy *Cockerill Acier Special*... I basta!

Nie każdemu być Radziwiłłem Nieświeskim i zgodnie z tradycją „Panie Kochanku” niedźwiadki żywcem brać i z oswojonym misiem po starych wałach zamku chadzać... Nie każdemu, jak p. Siehieniowi, posłużyć szczęście z królem Białowieży się spotkać i olbrzymiego „byka” celnym strzałem na „komorę” położyć!

„Pojedziemy na łów, czytelniku mój!”

Weźmiemy „w kotła” garść jaśniejszych wspomnień, zrobimy nagonkę podczas tej szarej zjawy jesiennej...

Pojedziemy na łów!

Chłopięce, dobre, drogie lata.

Dwór szlachecki, patrzący weneckimi oknami na szczyrby ru'n chęcińskich, na klamry ciemnych lasów, co hen ku Małogoszczowi szmat ziemi objęły...

— Mój Janie! mój kochany, pójdziemy!

— Kiedy pani mama będzie się gniewać!

— Mój złoty! mój brylantowy...

Stary, poczciwy strzelec Jan macha ręką o trzech palcach.

Resztę odciął mu „szablą” dzik pojedynek.

Mruga żartobliwie okiem.

— To niech paniczek wyjdzie od ogrodu... Będę czekać pod opaloną sosną... Tylko żeby nikt nie widział...

— A proch Jan ma?

— Jest!

„Bekkerówka” ojca znikła z nad łóżka. Hyc! przez okno i chyłkiem do ogrodu... A potem...

Dobry, poczciwy Jan... On mi rękę „formował”, pierwszego „kota” upatrzył...

Siedział w świeżej podorywce...

— Widzi paniczek?

— Nie!

— Ot tam... jak czapka...

Paf! i pierwsza „farba”... Ileż radości! ile uciechy! Poczciwy Jan! a jaki strzelec niebawym!

Kulą bretnale wbijał. Z konia w klusie ze swej pojedynek - janczarki „kota” trafił! a opowiadał, jak rzadko kto...

...bo to, proszą paniczka, u nas wtedy zawsze pełno było. Zwyczajnie, ak przy szosie. Właśnie przyjechali. Pani mama kazała baranów narznąć, beczkę wódki wytoczyć. A ja



Za chartami.

za fuzyjkę i w lasy ku Małogoszczowi... na zwiady... Idę.. idę... aż tu zda mi się słyszeć: „stoj”... i coś werkocze z daleka...

Za sosnę! Kucam... Zamigotało przez oszywkę... Loboga! wali ćma cała... traktem... prosto ku naszej wsi!... Loboga, strach mię zdjął... nie o siebie, paniczku! o nie! Pojedynek na plecy, jak nie machnę przełajem polami...

Plunęli za mną... dopadłem do dworu... Przyszli może w trzy pacierze potem... Ale już nikogo nie było...

Poczciwe stare Janisko...

Świeć mu, Panie!

Jesień późna. Pole „ostre”. Ale dla dziedzica Włoszczowy, dla „Atamana” niema złego pola.

I dla jego piesków niema.

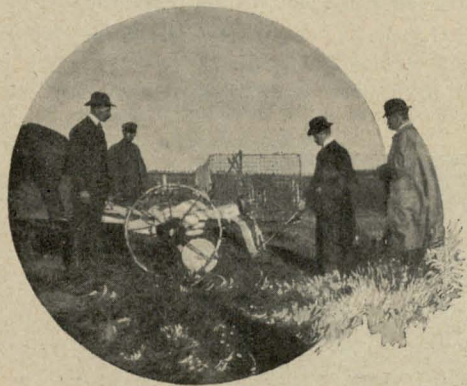
Szereg jeźdźców rozsunął się po skibnej roli.

Wycza!

Heco! Zakotłowało! Gracz szarak! w guście Jordanowskiego „Florka”.

Sadzą jeźdźcy. „Chwytaj” dał obrót, zabiegła od lasu „Ścigła”.

A środkiem najlepszy z jeźdźców. Prawie stoi



Angielska kopaczka do ziemniaków na Kujawach.

w strzemionach... Charakterystyczna burka na wiatr! Dojechał... Harapnikiem po turzycy między uszy!

Psy cap!

I znowu dalej z wiatrem zawody!

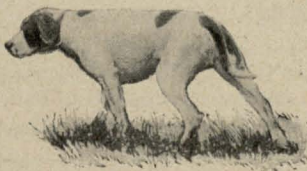
Kto widział te niezwykłą brawurę i sprawność jeźdecką, mógł śmiało powtórzyć w parafrazie:

„Patrzcie! patrzcie, młodzi! może to już ostatni, co tak koniem wodzi”.

Dziś nie stało już tego ostatniego jeźdźca „z pod lekkiego znaku”.

Jeszcze wspomnienia.

Psiarnia... Jest „Śpiewka”, jest „Doskocz”, jest „Wrzeszcz”, „Flinta”, „Lotka”, „Norma”, „Karo” się trafi... A najczęściej „Bekasów”, „Dyanek”...



Pietrek przygotował ospkę z baraniami nóżkami.

— Waruj!

Musi jado wystygnać... Czekają pieski. A Pietrek tymczasem o swych wychowanicach gwarzy.

A zna je na wylot. Wie, że „Bekas” dobrze strychuje, że „Flinta” do lotnej zwierzyny jedyna! że „Doskocz” lubi ściągać się, że u „Wrzeszcza” wiatr górny...

Zna je na wylot! i kocha...

I dziś o dobrze ułożonego pieska nietrudno. Ale to już nie „Śpiewki”, nie „Bekasy”.

Masz „Burzuja”... „Kadeta”... „Wieca”. A spotkałem nawet ostrowłosego griffona... Wabił się „Pedeck”!

Cóż robić? Polityka!

Strony podwarszawskie...

Leci wyrostek warszawski ku wsi, wołając:

— Panowie z miasta przyjechali...

Trochę sobie w duszy pokpiwa, choć nie słyszał o „Sontagsjegrach” i „Sontagszajtach”.

A niesłusznie, bo i Frenklowi w roli „charciarza” bardzo do twarzy, a już co dobrych strzelców-myśliwych nie brak nawet wśród ludzi pióra.

Tak... tak! Nie same kaczki dziennikarskie mamy na sumieniu...

Nieodżałowany Dygasiński był jednym z najlepszych myśliwych! Dzielnie podobno strzela Daniłowski, a już nie mówić o Sienkiewicz! o ks. rektorze Chełmickim!

A Władek Rabski! a współredaktor *Łowca*, *Zaremski*! a choćby i wasz pokorny sługa...

Trochę mu tam „rymy” oczy sforsowały, ale na tem bardziej cierpią panowie zecerzy (stokrotnie kochanych panów za to przepraszam), niż zające...

Przyjechali panowie z miasta. Idzie nagonka... l'if! paf! dublet!

Pif! kot o sto

kroków... ani bekną!

Już wyrostek mazurecki nie pokpiwa, jedno się po płowej czuprynie z podziwu dra pie.

Gadaj tu o „Sontagsjegrach!” o „Sontagszajtach!” kiedy Frenkiel siedzi na koniu, jak urodzony ułan, a Rabski strzela, jak anioł!



Frenkiel na polowaniu.

Polowanie. Barbarzyństwo, okrucieństwo — mówią...

Może... może... Wszystko ma swój punkt widzenia.

Może... może... Ale w duszy polskiej jest coś łowieckiego.

Strzał w kniei... Wyteżamy ucha, jak za Wojskiego granie.

Lecą echa...

A już co kto w tych echach dosłysz, to jego sprawa.

Do nas jeszcze te echa mówią...

Więc— pojedziemy na łów! Czytelniku mój!!

K. LASKOWSKI

LUDEK KONDRATOWICZ:

## Pieśń myśliwska.

Zagrajcie pobudkę,—już dnieje, szarzeje,

Trop łatwo na rosie zobaczmy:

Ruszajmy na bory, ruszajmy na knieje,

Potykać się z leśnym kudłaczem!

Dwururka przez plecy, a trąbka u pasa—

Niech krew się rozigra w nas żwawiej,

A psiarnia ze smyczy niech sobie pohasa,

Niechaj się do pola zaprawi!

W dębowym, sosnowym ostępie czy borze,

Pocieszmy się dobrą nadzieją!

Nie idźcie za nami, pudlarze i tchorze,

Was lasy litewskie wyśmiejają!

Bo z dziadów, z pradziadów tu echo borowe

Strzał celny rozemnać jest w stanie;

Kto trąbił w tych lasach, kto pił pogrzebowe,

Ten zuchem odrazu zostanie!

Tu każdy powinien domowe znać knieje

I każdy znać pole od dziecka.

Zagrajcie pobudkę: już dnieje, szarzeje;

Ozwij się, drużyno strzelecka!

Niech głosy po rosie zagrają, popłyną,

Aż echo drzemliwie zatrząśnie!...

O, rozbudź się, krasna, o luba dziewczyno!

Daj rączkę na drogę, daj szczęście!

## WIECZORY TEATRALNE I MUZYCZNE.

*Debiut opery polskiej w Teatrze Wielkim. — Śpiew włoski, jako znamię tradycyjne opery. — Nasze siły śpiewackie w sezonie tegorocznym.*

Trzeba mieć wszystko własne, nie zaś pożyczane. Sentencya ta, przetransponowana ze wzorów kaligraficznych w dziedzinę potrzeb i obowiązków narodowo-kulturalnych, brzmi: należy mieć operę własną, polską, nie zaś włoską, importowaną.

Czyliżby w tem rozumieniu—dość rozpowszechnionem—aby zarówno dzieła Verdi'ego, jak Wagnera, śpiewano nam tu, w Warszawie, po polsku... aż do ostatniej sylaby, gdzieś już w głębi kulis gubiącego się chórzysty?

Mniemam, że nie o to chodzi.

Nie byłbym w stanie wykazać najmniejszej różnicy... muzycznej w żegnaniu np. Don Basilia, słowami: „Dobrej nocy, mości panie!” zamiast: „*Bouna sera, mio signore!*” A przypuszczam, że kawatynie „*Una voce poco fa*” nie przybyłoby rozgłosu od popularnej nazwy—innej. Nie potrafię rozstać się z przekonaniem, że stokroć większą mielibyśmy korzyść z posiadania... samego Rosiniego, niż najdoskonalszego... przekładu libreta jego arcydzieła...

Jeżeli przeto ogłoszono by kiedy konkurs na nowy monogram dla kurtyny Teatru Wielkiego, ile że nie nazwę wyszukany pomysł wiązanki liter T. W. (Teatry Warszawskie), której przyglądamy się ze stoicyzmem godnym lepszej sprawy, tedy głosowałbym za P. S. K., co nie miało by, strzeż Boże, oznaczać prz y p a d-kiem: Polska Socy al n a Kompania, tylko: POPIERAJ-CIE SIŁY KRA-JOWE!

To znaczy: słuchajcie tu, u siebie, z przykłądną przyjemnością *rodaków*

własnych, tenorów i sopranistek, barytonów, kontraltów i mezzo-sopranistek, aż do najgłębszych basów włącznie, tak długo, aż ze swojskiego kompleksu operowego zaczną odrywać się, odlatując w świat szeroki, co najprędniejsze siły wokalne.

Nastanie dla nas wówczas ponownej przyjemności peryod. Czytać będziemy w prasie zagranicznej niebywałe dytyramby o niedościgle mistrzowskim odśpiewaniu gdzieś w Paryżu lub Medyolanie, jeżeli nie w New Yorku lub Londynie, przez najrodowitszą rodaczkę naszą i najrodowitszego rodaka duetu... „*La ci darem la mano*”, lub pojedynczo aryi „*Di tanti palpiti*” lub „*Casta diva*”, nie wspominając o romansie „*Deserto sulla terra*” lub o nieśmiertelnych kupletach „*La donna è mobile*”...

Wolelibyśmy, juści, aby, jak świat szeroki i długi, Don Żuan nucił Żerlińie: „Otwórz mi, ach!—okienko swoje!”, niż „*Deh! vieni alla finestra*”, aczkolwiek muzykę jej napisał Niemiec do tekstu włoskiego, wykrojonego z komedii francuskiej, osnutej na romansie hiszpańskim.

Tak już jest. Włoski śpiew operowy wywalczył dla siebie obywatelstwo wszechświatowe, jak, nie przymierzając, koń angielski i szwedzka zapałka. I cała finetza dziś polega na tem, aby mieć konie angielskie własnego chowu i zapałki szwedzkie własnego wyrobu... To albowiem i chwalebne jest i pożyteczne, i dostępne.

Jakże to śpiewa—w „Faworycie”, jeśli się nie mylę—piękna Leonora?

Ach, rozkosz, rozkosz to prawdziwa:  
Wejść tu, ten gmach powitać znów!

Z ust nam wyjęła jeżeli nie akurat te wyrazy, to wiernie malujące przyjemne uczucie znalezienia się

znowu w przedziwnie miłej, dystygnowanej i wcale nawet przystojnej sali naszej wielkiej teatralnej.

Bez żadnej tym razem pompy i parady otwarto sezon operowy, ale otwarto go w tradycyjnym terminie, i już p. Wiktor Reszke, z ramienia Filharmonii i z urodzoną *grandezzą*, czyni honory domu w przybytku naszym *del bel canto*. Wyrwał mi się nieopatrznie włoski wyraz, lecz niech zostanie. Wcale bowiem pomysłnie i pięknie, przy sutym napływie publiczności, rozpoczęły się preludya do „wielkiego”, zapowiedzianego i oczekiwanego niecierpliwie repertuaru.

Tymczasem idą lżejsze—przekąski: „*Cavaleria Rusticana*”, „*Pajace*”, „*Wanda*”, oraz śpiewany był, bez ekstradynaryjnego wysiłku—„*Faust*”.

Najmocniejsze, jak dotąd, wrażenie sprawia rozlegająca się ze sceny, śpiewana jednolicie: mowa polska. Dyrekcyja obecna operowa dała nam to, co swojego czasu zapowiadał p. Rajchman: trupę operową, wyłącznie z rodaków naszych złożoną. No—i bardzośmy radzi i wdzięczni! Z całą sumiennością, zainteresowaniem się i najzyczliwszą przychylnością zabraliśmy się do studyowania sił i środków p. Mokrzyckiej, p. Piryńskiej, p. Malawskiego, p. Borkowskiego, z którymi zawieramy dopiero znajomość, gdyż np. co do p. Metaxiana, to już będziemy tylko notowali pięknie ujawniające się szybkie jego postępy śpiewacze. P. Metaxian zdaje się mieć blizką przed sobą—nie bylejaką przyszłość.

O pięknym obdarzonej głosem, uroczej i młodziutkiej p. Mokrzyckiej (Nedda w „*Pajacach*”) powiedziałbym, narazie, z ewangeliczną prostotą: nie tylko niech słuca, kto ma uszy do słuchania, lecz i kto oczy ma do patrzenia, niech patrzy!



Helena Mokrzycka.

Sporo nerwu aktorskiego, wdzięku, swobody; mniej jeszcze biegłości technicznej w zażywaniu głosu, oraz wyrobionego smaku.

Ale oto i pan Borkowski, który dopiero debiutował na scenie (Alfio z „*Rycerskości wieśniaczej*”), też jeszcze nie dość pewny siebie w śpiewaniu,

aczkolwiek ujawnił pewne zdolności aktorskie.

Wszystko to rychło zgra się, ześpiewa, zharmonizuje... jeżeli baron Reznicek, główny dyrygent, nie zaśpi sprawy przy orkiestrowym pulpicie swoim. Zdaje się bowiem zanosić na to, że baron Reznicek laseczką swoją nie zawsze zakreślać będzie właściwe esy floresy, „wedle” których, jak wiadomo, wszystko dzieje się na scenie.

Nie uprzedzamy jednak wypadków.

Tymczasem zanotujmy *ad aeternam memoriam* owacyjne powitanie p. Ignacego Dygasa, jako Cania w „*Pajacach*”. Przybył, zaśpiewał i zwyciężył. Doskonalemu śpiewakowi ofiarowano wieńce i kwiaty i długo, długo klaskano, okazując rzetelną uciechę i serdeczną życzliwość.

Panie Ignacy! prosimy jednak o niekwapienie się z zerkaniem zaraz w stronę... Europy. Ona pana nie ominie, a tymczasem, chciej wierzyć, że miło jest pośpiewać—dla swoich. Obcy nie omieszkają pierwej lub później dogodzić panu—w innym względzie. Wszystko atoli, jak mawiali mędrce starożytni, znaleźć się powinno—we właściwym czasie.

Mając zaś na względzie wszystko, co nam u programu sezonu zaprezentowano, szczerze i serdecznie pozdrawiamy *operę polską* na warszawskiej scenie, życząc jej powodzenia, rozwoju artystycznego i godnego reprezentowania muzycznej kultury swojskiej.

Publiczność zaś nasza, nie wątpimy, że będzie wiedziała, co uczynić, aby zabiegiem dyrekcyi i artystów umożliwić osiągnięcie zamierzonych rezultatów i celów.

CZESŁAW JANKOWSKI.



## Zapolska o „Skizie”.\*)

Szanowny Redaktorze!

Wobec wielkiego i zupełnego tryumfu, jaki odniosła sztuka moja *Skiz* na scenie lwowskiej, wobec jednogłośnie aplauzu publiczności i całej lwowskiej prasy, boleśnie zaskoczona zostałam wiadomościami, iż *Skiz* na scenie warszawskiej doznał wręcz przeciwnego losu. *C'est le ton qui fait la chanson*, można zastosować do wykonania *Skiza*, bo krytycy lwowscy podnoszą właśnie wysoko ów wykwinny *ton* całej sztuki i dialogu, ton, który dominuje nad wszystkim. W *Skizie* bowiem nie chodziło mi zupełnie o demonstrowanie nerwu scenicznego, lecz o ten ton poezyi zeszłego wieku, ścieranej smutnym realizmem życia obecnego. Lecz na to należało pochwycić ów ton, i pochwycili go artyści sceny lwowskiej, dyrekcyja, reżyseryja, którym za to gorące dzięki składam. Szanowny krytyk *Tygodnika* pomiędzy nawiałem zarzutów pisze, iż artyści sceny warszawskiej stosowali się do moich rad i wskazówek. Jest to błędne. Scena warszawska obeszła się ze mną w zupełnie różny sposób. Dostawszy sztukę, zerwano ze mną wszelkie stosunki. Na moje telegramy, na moje listy, prośby, błagania nie odpowiadano *ani słowem*. Z dzienników dowiedziałam się o obsadzie, o próbach, o dniu premiery. Czując, jak trudną jest sztuka moja do grania, pisałam rozpaczliwie do p. Śliwickiego, lecz już na dwa dni przed premierą, i to było zapóźno. Zaprotestować więc tu muszę stanowczo przeciw temu, jakoby *ton* sztuki, w jakim grany był *Skiz* na warszawskiej scenie, był przeze mnie nadany. Tonem gry *Skiza* jest ton, w jakim grano na lwowskiej scenie przez panie: Siemaszkową, Trap szo, panów: Żelazowskiego i Rasińskiego. Ani na chwilę nie potrącano tu o farsę i błazeństwo. Komiczne efekta podawano delikatnie, wykwinnie i subtelnie. Stąd odczucie takie same sztuki przez publiczność i całą bez wyjątku prasę. Zażądałam zdjęcia sztuki z afisza teatrów warszawskich, nie chcąc doznawać tej przykrości, że dzieło moje (choć może bardzo marne i nieudolne) jest wbrew intencjom moim grane. Lecz i w tym razie mnie nie posłuchano.

Jestem przekonana, że artyści teatru warszawskiego pojęliby doskonale *ton* mej sztuki tak, jak pojęli go we Lwowie, gdyby pozwolono im skomunikować się ze mną dla opracowania *Skiza*, który może nie jest, jak chce łaskawie krytyk lwowskiego *Dziennika Polskiego*, moją sztuką *najlepszą*, ale bezwarunkowo sztuką do grania *najtrudniejszą*.

Zechciej przyjąć, szanowny redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku, z jakim zostaję  
ZAPOLSKA.

## TEATR POLSKI W WILNIE

Z OKAZYI DWULECIA.

Dnia 17 b. m. polski teatr w Wilnie obchodził drugą rocznicę swego zmartwychwstania. Dwa lata—okres to tak krótki, że ten i ów zdziwić się może, iż nam śpieszno już wyprawiać jubileusz.

Ale pamiętać trzeba, żeśmy przez całe niemal pół wieku marzyli o scenie polskiej w Wilnie, jak o czemś niedoścignionem i pogrzebanem beznadziejnie. Więc nie dziwota, że się wciąż jeszcze nacieszyć nie możemy powróconą do życia; że przy każdej sposobności radzi jesteśmy mózdz przypomnieć sobie, że ten teatr żyje, rozwija się, a wreszcie, że bodaj jest tylko, jest prawdę.

Wyświecenie z Wilna sceny polskiej pociągnęło za sobą skutki, których z pewnością nie przewidywali autorowie tej dzikiej represyi. Skutki te wyobnie ilu-

\*) Od p. Gabryeli Zapolskiej otrzymujemy list powyższy, który zamieszczamy w imię zasady, że autor ma pełne prawo wypowiedzieć się o wystawieniu swojej sztuki na scenie.





Nina Młodziejowska.



Teatr w Wilnie. Ostatnia scena z „Zemsty za mur graniczny”.



Bolesław Szczurkiewicz.



Teatr w Wilnie. W garderobie męskiej.

strują całkowitą bezcelowość podobnych prześladowań. Rozpędzono aktorów naszych, wygnano język polski z estrady, lecz nie zdołano wypełnić potrzeby teatru polskiego w Wilnie. A potrzeba ta, im trudniej zaspokajana być mogła, tem gwałtowniejszą nam się wydawała, i w aureole stroiliśmy instytucję, mogącą ją zaspokoić.

W marzeniu polski teatr przedstawiał się nam jedynie, jako świątynia, świątynia nie tylko sztuki dramatycznej, lecz również ideałów narodowych, jako królestwo języka ojczystego, myśli szczytnych i hasel porwijających.

I przysły nareszcie okowy.

Do Wilna zjechała na stałe trupa p. Młodziejowskiej.

Czy wymagania nasze zawiodła?

Powiadamy odrazu: nie! Ziściła je stanowczo. Ziściła przedewszystkiem pod względem moralnym, a względ ten u nas miał może większe znaczenie, niż motywy artystyczne. Bo my tu nie wybaczylibyśmy teatrowi, coby polskość swą łączył z nieprzystojnością obyczajów lub repertuaru.

Trupa p. Młodziejowskiej w zupełności ten pierwszy punkt naszych wymagań artystycznych zadowala. Teatr wileński nie tylko chcemy, lecz i możemy szanować.

Co się ryczy repertuaru, to, z wyjątkiem pewnych nieznacznych odchyłań, trzyma się on prostej linii i mieści przedewszystkiem dzieła wartościowe. Za usługą dyrekcji naszej jest wystawienie kilku dzieł, przedtem nigdzie nie granych (jak np. „Sędziowie” Wyspiańskiego, „Mindowe” Słowackiego), tudzież utworów, których w granicach Rosji, nawet po zniesieniu represji cenzuralnych, żadna scena nie ośmielała się dawać. Wśród sztuk tych pierwsze miejsce zajmują „Dziady” Mickiewicza; arcydzieło to, zainscenizowane tu z drobiazgowym pietyzmem, stało się najulubieńszą sztuką publiczności wileńskiej i zawsze, jak to mówią— „robi kasę”.

„Wesele” Wyspiańskiego dostało się na deski teatru naszego prawie bez skreśleń, a wykonanie sztuki tej, śmiało rzec można, nie ustępuje krakowskiemu.

Ze sztuk innych powodzeniem największem cie-

szyły się prace Zapolskiej (zwłaszcza „Moralność pani Dulskiej”, Żuławskiego („Eros i Psyche”), a wreszcie stale zapełniają widownię komedye i farsy Przybylskiego. Samo powyższe zestawienie nazwisk i tytułów wskazuje, iż Wilno przedstawia teren odrębny, posiadający swój specyficzny charakter. Bo pomyśleć tylko, co za kontrast: „Dziady”, „Wesele”, „Moralność pani Dulskiej”, „Wicek i Wacek”...

Kto się dziś jednym tchem wszystkimi temi dziełami jednak zachwyca, intrygować musi, niezupełnie zrozumiałym się staje.

I rzeczywiście gust Wilnian jest wciąż jeszcze nieodgadniony; zresztą Wilno samo siebie dotąd nie rozumie, nie uświadamia. Grunt to zachwaszczony przymusową czterdziestoletnią jałowością.

Z tego względu dyrekcja natrafiła tu na poważne trudności i dotychczas wybrnąć z nich nie zdołała. Poznała ona jeno kilka tonów, odpowiadających kameronowi miejscowych potrzeb artystycznych, ale całokształt ich, oraz istota wciąż pozostają tajemnicą.

Z konieczności więc kroczy się poomacku, co chwila trafiając na zawody.

Ostatecznie, każdy rozumie, że inaczej być nie może. P. Młodziejowska stanęła tu do pracy w okolicznościach wyjątkowo trudnych; do niej należy wybadanie terenu i ubicie drogi dla następców. Szczęście, że na eksperymenty starcza jej zapasu, no i—środków materyalnych.

W każdym razie, rozpatrując działalność obecnej dyrekcji, musimy mieć na względzie rzeczywiste zadanie okresu prób, badań, szukania.

Za podjęcie się wykonania tej pracy, za upór męski, który okazuje p. Młodziejowska, by na stanowisku wytrwać, by nie dać się zniechęcić i z działalności swej coś dla przyszłych pokoleń zostawić, jesteśmy tej kobiecie dłużni znacznie więcej, niż się na ogół przypuszcza.

Ona robi wszystko, czego od niej wymagać można. A jeżeli teatr jej, wileńskim zwany wedle miejsca swego funkcyonowania, z charakteru *wileńskim* jeszcze nie jest, to bynajmniej nie można tego składać na odpowiedzialność jego kierowniczkę. *Zwileńszczyć* teatr może tylko czas i samo Wilno, które — po swem odrodzeniu kulturalnem — znacznie dawać pozostających na miejscu pisarzy, aktorów, publiczność wreszcie.

Dziś teatr tutejszy jest wytworem krakowsko-warszawskim. Na to, by się stał wyrazem i głosem Wilna, musimy czekać cierpliwie i nie rzucać kamieni pod nogi tej, która przyszła ofiarować nam wszystko, co w danej chwili sztuka polska ofiarować może.

Wilno.

B. H.

### Antoni Mars.

W ubiegłym tygodniu ze zwykłą okazałością inaugurowano nowe studia w uniwersytecie lwowskim. Słowo wstępne należy z reguły do rektora, którego tożę purpurową nosi w bieżącym roku szkolnym prof. dr. Antoni Mars.

J. Magnificencya urodził się r. 1851 w Chrzastowie, w Królestwie Polskiem. Gimnazjum i fakultet medyczny ukończył w Krakowie. W r. 1875 już doktoryzowany udaje się dr. Mars na słynną klinikę prof. Karola Brauna w Wiedniu, tam też pełniąc obowiązki sekundaryusza w szpitalu imienia Maryi Teresy.

Postanowiwszy oddać się pracy naukowej, staje w r. 1880 w charakterze docenta uniwersytetu jagiellońskiego na katedrze ginekologii i położnictwa. W parę



Teatr w Wilnie. W garderobie damskiej.

lat później tworzy zakład dla ćwiczeń aseptycznych w operacjach ginekologicznych wraz z pracownią chemiczną i bakteriologiczną, darowaną później przezeń uniwersytetowi. Mianowany profesorem zwyczajnym, przenosi się w r. 1898 z otwarciem wydziału medycznego do Lwowa, obejmując tu zarazem dyrekcję kliniki. Prof. Mars pisał sporo z zakresu swej specjalności. Jest członkiem redakcji *Przeglądu Lekarskiego* i *Roczników Towarzystwa ginekologicznego*, które jemu zawdzięcza swoje powstanie. Ruchliwy i czynny, znajdował jeszcze czas na posłowanie do Sejmu Krajowego, powoływany tam głosami szlachty-powietników.

Z jego mowy rektorskiej podkreślamy końcowe ustępy, dobrane charakterystycznie człowieka i obywatela:

„...Kto chce iść dalej i wyżej, kto chce z uniwersytetu wynieść coś więcej, kto dążyć chce

do wyższych celów, nie może poprzestać na samem zdobywaniu wiedzy. Potrzeba, obok kształcenia umysłu, kształcić koniecznie serce, potrzeba nauczyć się kochać Boga i Ojczyznę, naukę i sztukę, piękno i cnotę, ludzi i rodzinę—i wówczas dopiero sięgnąć można po wyższe cele”.

„...Pragniemy wierzyć, że to, co dotąd zakłócało spokój uniwersytetu, było wynikiem chwilowego zamętu i nieopatrzności. Wszak uniwersytet to wyłączne pole dla walki ducha i umysłu. Znaczenie i istota jego nie polega na zasobach materyalnych, ale na doniosłości twórczej i na promieniowaniu myśli i ducha tych, którzy wchodzą w skład tej uczelni. Tylko bogactwem myśli i ducha, tylko wytrwałą i mrówczą pracą można czynić zdobycze w dziedzinie nauki!”

ski.



Antoni Mars.

## MOZAJKA.

Wystawa Nałęcz. — Na polu prasy. — Nowe świątynie. — 50 letni jubileusz kapłański. — Zygmunt Przybylski i nowa sztuka).

Do szeregu wystaw malarskich, jakie w ostatnich czasach dosyć często bywają urządzone w Warszawie, przybywa nam jeszcze jedna, bardzo udana i ciekawa, w salonach sztuki Kulikowskiego. Stanowi ją zbiór prac dawniejszych i nowszych artysty-malarza, Włodzimierza Jana Nałęcz.

Nałęcz urodził się w Kijowie r. 1865 i już w latach dziecięcych uległ potężnemu wpływowi ukraińskiego krajobrazu, co wryło zasadnicze piętno na dalszym rozwoju jego talentu. Po studiach, odbytych w Petersburgu, Düsseldorfie, w Paryżu i Norwegii, rozpoczął pokazy swoich prac, wśród których zawsze przeważały szkice i studia krajobrazowe, i za nie przeważnie artysta otrzymał różne nagrody i odznaczenia.

Na obecnej wystawie Nałęcz, urządzonej w salonach Kulikowskiego, wśród całego szeregu obrazów



Włodzimierz Nałęcz w pracowni.

artysty, szczególnie rzuca się w oczy piękny cykl „Mazowsze”, traktowany z istic mazurską werwą, subtelnymi efektami kolorystycznymi i bardzo szeroko. W bieżącym numerze *Tygodnika* podajemy reprodukcje nie mniej udanych obrazów, p. t. „Froldfiord” i „Barka”. I one też przykuwają uwagę widza.

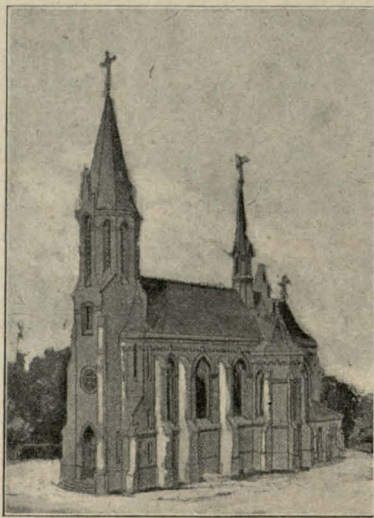
Ruch w dziedzinie artystycznej idzie ostatnimi czasy w parze z pewną intensywnością i zmianami na polu prasy i piśmiennictwa.

Deklaracja autorów i zapowiedź nowego wielkiego dziennika p. t. *Dzień* znanego polskiego publicysty, Stefana Gorskigo, wywołują ożywione zainteresowanie. Pragnie też zainteresować czytający ogół nowe wydawnictwo książkowe *Nowości Literackie*, które wypuściło już w obieg najnowsze utwory K. Tetmajera p. t. „Z wielkiego domu” i pierwszy tom studium Lorentowicza o „Młodej Polsce”. Obecnie *Nowości Literackie* ogłosiły konkurs na okładkę z nagrodą rb. 50. Jury stanowić będą najlepsze rasy siły malarskie wraz z kierownikiem literackim *Nowości*, Gustawem Olechowskim.

Nową erę w dziejach swojego rozwoju rozpoczął również zasłużony w naszej prasie tygodnik *Bluszcz*, przechodząc na współwłasność dotychczasowej swojej kierowniczkę, Zofii Seidlerowej, bardzo ruchliwej i uzdolnionej literatki polskiej. Już oddawna *Bluszcz* jest jednym z najlepszych pism dla kobiet, drgając życiem i energią szczególnie od tego czasu, gdy na jego czele stanęła obecna współwłaścicielka. Sympatycznej redaktorce życzymy pomyślnego rozwoju jej organu przy nowych warunkach pracy.

Z życiem również posuwa się naprzód drugie pismo kobiece, *Tygodnik Mów i Powieści* (znajduje się pod kierunkiem Józefowej Kotarbińskiej). Obecnie redakcja jego gorąco wzywa kobiety nasze do wzięcia udziału w Zjeździe stowarzyszeń spożywczych, odbyć się mającym w Warszawie między 27 a 31 bieżącego miesiąca. Odezwa akcentuje ścisły związek pomiędzy kobietą a gospodarstwem domowym, przypuszczając, iż zaznajomienie się z zadaniami kooperacji spożywczej powinno jak najżywiej zainteresować niewiastę polską. Wszelkich informacji, odnoszących się do przebiegu zjazdu, udziela redakcja *Tygodnika Mów i Powieści* (Aleje Jerozolimskie 49).

Z ostatniej chwili mamy również do zanotowania dwie odezwy, które otrzymała nasza redakcja, w sprawie wznoszenia nowych świątyn katolickich w Peter-



Projekt kościoła katolickiego w Przemyślu galicyjskim.

hofie i na przedmieściu „Blonie” w Przemyślu galicyjskim.

Współrzędnie z tem mamy do zanotowania rzadki, bo 50-letni jubileusz kapłański ks. Franciszka Ponikowskiego, gwardyana jedynego w Królestwie Polskiem klasztoru O.O. Reformatów we Włocławku.

Jubilat jest mężem niezwyklej gorliwości kapłańskiej, niestrudzonym pracownikiem, wybitnym kaznodzieją i dzielnym misjonarzem. Pomimo 73 lat życia i nieustannej pracy, cieszy się zupełnym zdrowiem i energią. Na załączonej fotografii otaczają go: kleryk-nowiczuszy i 4 ojcowie tegoż zakonu, przybyli z Galicyi, których władze przyjęły na stałe mieszkanie. Z inicjatywy ks. biskupa Zdzitowieckiego dla uczczenia godnego jubilata księza dekanatu włocławskiego ufundowali w miejscowym szpitalu jedno łóżko imienia O. Franciszka Ponikowskiego, katolicy zaś obywatele włocławscy złożyli fundusz na wpisy szkolne dla ubogiej młodzieży...

Na zakończenie zostaje jeszcze do nadmienienia coś z dziedziny teatraliów—nowa sztuka „Sposób na żony”, znanego komedypisarza Zygmunta Przybylskiego. Była już grana w teatrze krakowskim, gdzie osiągnęła duży sukces u prasy i u publiczności. Obecnie w teatrze autora wywoływano kilkanaście razy i wręczono mu kwiaty i wieńce. r k.

### Z żałobnej karty.

W dniu 16 października ubyła nam szlachetna postać znanego profesora, statystyka i historyka, ś. p. Witolda Załęskiego.

Zmarły był synem Karola, długoletniego marszałka szlachty z gub. grodzieńskiej, i Eleonory z Buczyńskich. Urodzony w Warszawie w r. 1863, średnie wykształcenie otrzymał w Wilnie, a wyższe w Dorpacie. Po kilku latach studiów i szeregu prac otrzymał tytuł doktora prawa państwowego i międzynarodowego. Wybrano go do uniwersytetu we Lwowie, jako profesora, lecz nie uzyskał zatwierdzenia namiestnictwa; proponowano również wyjazd dla objęcia katedry prawa w jednym z uniwersytetów rosyjskich, lecz zmarły nie chciał porzucać rodzinnego kraju.

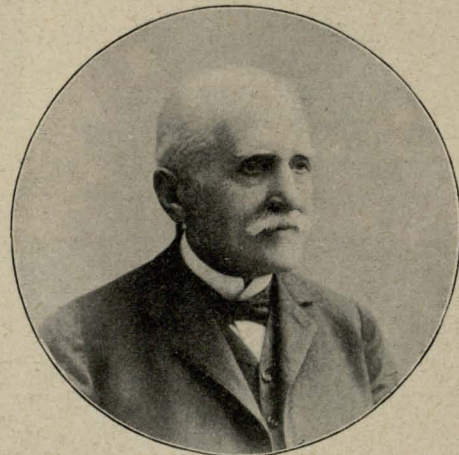
Przebywając przez cały czas w Warszawie, ś. p. Witold Załęski był nauczycielem historii powszechnej i geografii w jednym z gimnazyów, a następnie docentem ekonomii politycznej i statystyki w Szkole Głównej, lecz po jej zamianie na uniwersytet nie zatwierdzono go na stanowisku profesora w kraju. Od roku 1873

objął wykłady statystyki w szkole handlowej im. Kronenberga.

Wielką zasługą zmarłego jest założenie w Warszawie biura statystycznego, do którego ufundowania gorliwie również pomagał ówczesny prezydent miasta, Starzyński.

Wielką zasługą zmarłego jest założenie w Warszawie biura statystycznego, do którego ufundowania gorliwie również pomagał ówczesny prezydent miasta, Starzyński.

Dla umiłowanej przez siebie dziedziny zmarły

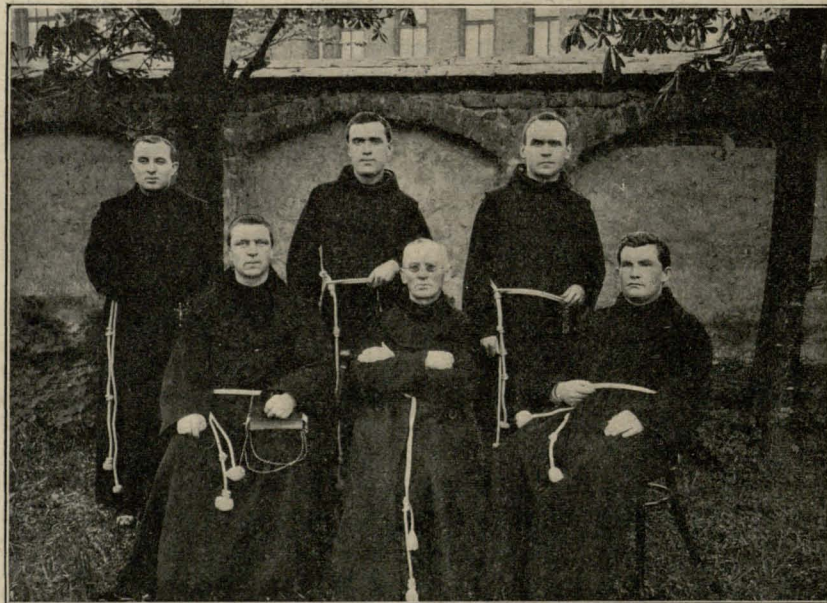


Witold Załęski.

pracował gorliwie przez całe życie, pozostawiając po sobie szereg cennych prac naukowych. Ze śmiercią ś. p. Witolda Załęskiego nauka polska ponosi poważną stratę.

Zmarły osierocił pomiędzy innymi siostrę Jadwigę, księżkę zgromadzenia panien Kanoniczek w Warszawie.

Cześć pamięci zasłużonego i szlachetnego męża!



O.O. Reformaci we Włocławku, z gwardyanem jubilatą, ks. Fr. Ponikowskim.

### Nasz dodatek powieściowy.

Po ukończeniu nieznanego opowiadania Aleksandra Bernatowicza, autora „Połaty”, p. t. „Reginka z Sieciechowa”, ciekawego ze względu na archaiczny styl i barwne odtworzenie przeszłości, rozpoczynamy w numerze niniejszym druk „Pogadanek kontuszowych” Konstantego Gaszyńskiego.

Wybitny poeta z epoki romantycznej dał tu szereg obrazów z połowy XVIII wieku, dobrodusznym, sympatycznym, pogodnym, opromienionym szczerem uczuciem i mgłą melancholii, towarzyszącej wszystkiemu, co zamiera. Rzeczy te, prawie nieznaną w kraju, mają swój wdzięk rodzimy i należą do galerii obrazków z przeszłości, w których był mistrzem H. Rzewuski, autor „Pamiętek JPana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego”.

## KRONIKA.

*Odezwa Komitetu budowy pomnika Tad. Kościuszki w Waszyngtonie.*

Do WW-nych Panów artystów polskich, biorących udział w b. konkursie pomnika Tadeusza Kościuszki w Waszyngtonie, D. C.

Wypełniając odnośną uchwałę Komitetu wykonawczego budowy pomnika Tadeusza Kościuszki w Waszyngtonie, D. C., mam zaszczyt wezwać niniejszem wszystkich panów artystów, którzy wystali swe modele pomnika do Waszyngtonu, ażeby w ciągu 60 dni od daty tego ogłoszenia zgłosili się do mnie z pieniędzmi na koszty opakowania i przesyłki swych modeli, oraz wskazaniem dokładnego adresu, na który mają one być wysłane, lub też przysłali upoważnienia do zniszczenia modelu, w razie gdyby ktoś z artystów nie życzył sobie ponosić kosztów powrotnej przesyłki do Europy. Zastrzega się przytem, że wszystkie modele, co do których nie nadejdą żadne rozporządzenia, zostaną po upływie wyżej oznaczonego terminu zniszczone bez dalszych zawiadomień.

S. J. CZECHOWICZ.

Sekretarz Komitetu wykonawczego i sekretarz generalny Związku nar. polskiego, 102—104 West Division St., Chicago, Ills., U. S. A.

*Wysłanie staruszków 1903 r.*

27 maja wysłano do kraju drugą partję weteranów 63 roku, mianowicie: Natraszewicza do p. Zdziarskiego gub. piotrkowskiej, Kamińskiego i Cybulskiego do pana Romanowicza gub. wileńskiej. Przygotowuje się nowa partja pięciu staruszków; miejsc ofiarowanych dla nich mam tylko dwa. Rachunki kasowe następujące. Otrzymano rub. 10 p. Olizar. Żytomierz. Zebrała p. M. Ciszewicz Wilno, rub. 26, p. Skorubski, Chabarowski rub. 5, Romanowicz wileńskiej gub. rub. 3. Telegraficznie N. N. rub. 25, p. Korzeniewski Kijów rub. 1,50, p. Gromadzki chersońskiej gub.

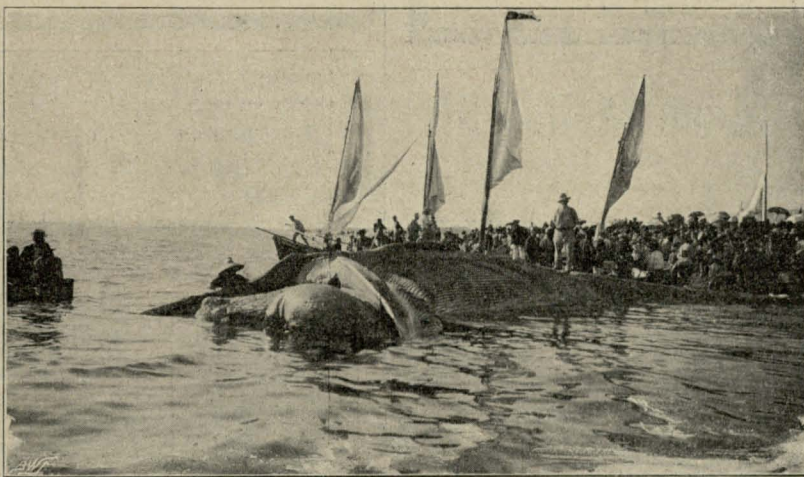
rub. 3, p. Polkowski Postawy rub. 5, p. Słowiński mińskiej gub. rub. 15, p. Szuch i M. K. Wara rub. 16, p. Siemaszko Moskwa rub. 3, p. Plewiński, Warszawa rub. 6, p. Leszczyński połtańskiej gub. rub. 10, od Polek w Elizabetpolu rub. 30, zebrał *Kurjer Litewski* rub. 21, pozostało z przeszłego wysłania partji 90 kop., razem rub. 180 kop. 40. Wydano: Utrzymanie pięciu starców przez dni czternaście rub. 11 kop. 60. Kupiono na drogę życiowych zapasów rub. 3. Wydano na życie do Czelabińska trzem starcom rub. 1 kop. 5, bilety do Czelabińska rub. 12. Wóz dla rzeczy rub. 1 kop. 20, wysłano na dalszą

drogę do Czelabińska rub. 50, wysłano na wieś staruszkowi na drogę rub. 5, razem wydano rub. 97 kop. 80. pozostaje na partję 3-ią rub. 82 kop. 80. Bardzo pragnie wyjechać staruszka do kraju i potrzebuje pomocy, prawie 80 letnia, która przyjechała na Sybir z bratem powstańcem, tak kiedyś znanym i przez ogół szanowanym doktorem Ciechanowieckim.

Ks JÓZEFAT ZYSKAR, proboszcz irkucki.

*Ze świata tonów.*

Usiłowania księgarstwa naszego w celu zastąpienia niemieckich wydawnictw, zalewających do niedawna rynek księgarski, takimiż wydawnictwami wiedeńskimi, zyska-



*Schwytanie wieloryba.* Na wybrzeżu morskiem, między Massą a Karrarą, schwytano, w tych dniach ogromnego wieloryba, dość rzadkiego gościa w wodach włoskich. Rybacy z Massa Maritima dostrzegli go, kiedy niedaleko brzegu rzucał się, jakgdyby śmiertelnie raniony. Ponieważ jednocześnie odbywały się morzu Śródziemnym manewry floty włoskiej, przeto blizkie jest przypuszczenie, iż jeden z pancerników najechał na wieloryba i tak go uszkodził, że wieloryb, raniony, poniesiony został przez fale ku brzegowi. Rybacy dobili go, poczem, zaprzągwszy doń cztery woły, z trudnością, wobec ogromnego ciężaru, wydobyli na brzeg. Długości miał blisko 21 metrów, z kolosalnej rozwarłej paszczy wieloryba wystawał język w kształcie wydętego małego balonu. Zaraz tedy powstał spór pomiędzy rybakami a władzami pobrzeżnymi o własność ryby. Wobec niebezpieczeństwa, że ciało wieloryba zepsuje się, zanim spór będzie rozstrzygnięty, wsadzono go na statek i odwieziono do Genui, gdzie kwestya prawna miała być rozstrzygnięta.

ły ostatnio na siłę, dzięki obywatelskie uchwałę profesorów Warszawskiego Konserwatorium Muzycznego. Rada Pedagogiczna naszego Konserwatorium rozpatrywała mianowicie na specjalnie zwołanem na ten cel posiedzeniu wydawnictwa muzyczne wiedeńskiego Instytutu „Universal-Edition” i uznała je za zasługujące pod każdym względem na rozpowszechnienie. Nadmienić muszę, że katalog „Universal-Edition” obejmuje około 2,000 utworów muzycznych, zarówno literatury klasycznej, jak i nowoczesnej całego świata, a wydanie to pod względem wytworności, opracowania stoi znacznie wyżej od wydawnictw niemieckich.

*Konkurs.*

Wydział Towarzystwa Oświaty Ludowej we Lwowie rozpisyje konkurs na popularną „Historję Polski”, która ma przedstawić całość dziejów państwa i narodu polskiego do dni dzisiejszych ze szczególniejszem uwzględnieniem dwu ostatnich stuleci. Historia ta, przeznaczona dla czytelników towarzystw oświatowych, ma być napisana treściwie, a popularnie i patriotycznie, aby mogła przemawiać do dusz czytelników; oprócz się zaś winna na wynikach dzisiejszych badań naukowych, z wykluczeniem jednak jakiegokolwiek tendencji społecznej czy politycznej. Wymaga się, by praca ta zawierała elementarne wiadomości z geografii ziem polskich i zachowała równomierność w przedstawieniu stosunków wewnętrznych z dziejami politycznymi. Co do swej objętości, nie może przekroczyć 8 arkuszy druku. Termin konkursu upływa z dniem 1 maja r. 1909. Prace, opatrzone godłem należy nadesłać pod adresem „Towarzystwa Oświaty Ludowej we Lwowie” (ul. Kampiana 3) i dołączyć kopertę, opatrzoną tem samem godłem, a kryjącą nazwisko i adres autora. Nagrodę za pracę najlepszą przeznacza się w sumie 500 koron, która może być rozdzielona na dwie względnie najlepsze. Towarzystwo Oświaty Ludowej zastrzega sobie prawo ogłoszenia drukiem pracy, przez siebie nagrodzonej.

## N A D E S Ł A N E.

Grzebienie i szpilki  
do upinania fryzur damskich

szyldkretowe, rogowe i celuloidowe, poleca

**STEFAN POREBSKI**

Kraków, Rynek 32, linia C-D

**C-SKORYNA I S-KA FABRYKA MASZYN**  
I KAMIENI MŁYNSKICH  
BUDOWA MŁYNÓW  
WARSZAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYNSKIE.  
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t.p.

**ALFONS MANN**

Warszawa, Tłomackie 3.

Fabryka założona w 1819 r.

Narzędzia lekarskie. Wyprawy po-  
łożnicze. Bandaże i Pasy. Pończochy  
elastyczne. Trąbki słuchowe.  
Termophory (do gorących okładów.)

**W. CYBULSKI i S-ka**  
Warszawa, Nowo-Senator 7.  
Telefon 60-29

Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.



ODPOWIEDZI.

*P. Józefowi Grzymałowskiemu.* Dział „nadesłanych” jest tak ściśle odgraniczony w *Tygodniku* od działu redakcyjnego, że pod tym względem nikt wątpliwości żadnych mieć nie może. Za wyrażenia i określenia towarów w ogłoszeniach i reklamach Redakcja *Tygodnika* odpowiadać nie może.

*Panu I. E. Kal...* Obie rodziny, o które Sz. Pan zapytuje, są pochodzenia czeskiego, przybyły atoli nie w czasach wojen husyckich, lecz w okresie już porozbiorowym. Rodzina Pos... używa herbu własnego (na tarczy w polu błękitnem—pod dwiema pięciopromiennymi gwiazdami złotem lew złoty, wspięty w prawo; nad hełmem w koronie szlacheckiej pół lwa złotego z pięciopromienną gwiazdą złotą w łapach). Zapisana została do pocztu szlachty polskiej w latach 1833—41 przez b. Heroldyę Kr. Polskiego z przydomkiem Loewenstern, co obala tradycję pochodzenia jej od Granowskich (!?).

*Dla Łodzianki.* Grafolog udziela odpowiedzi w *Tygodniku* za opłatą kop. 50. Można nadsyłać markami pocztowemi.

*Stan. Skrzypek.* Wiersze Pańskie pod względem formy są ładne, sympatyczne i oznaczają talent, lecz ze względu na wielki zapas utworów rymowanych zamieścić ich nie możemy.

*Stalej Prenumeratoree.* Adres Gabryeli Zapolskiej, Lwów, ul. Kurkowa Nr. 22a. Adres St. Karpowicza ul. św. Barbary 6.

*P. Buczk. z Lublina.* Wiersze nie dla nas, forma słabiuchna, a treść mało interesująca.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI** Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny



z Poznania. — Atelier reparacyjne  
WIERZBOWA № 6 (Hotel Angielski)

Józef SUPPERT

poleca

Bizuterię

w stylach nowo-  
czesnych, oraz

Zegarki, Zegarki



# F. IZDEBSKI

Senatorska 6 w Warszawie.

Telefon 20-78

FILIA:

Bracka 20

Telefon 90-85

Skład Szkła, Porcelany, Fajansu, Majoliki i Naczyń Kamiennych, własna Malarnia  
poleca całkowite wyprawy ślubne od najskromniejszych. Herby i monogramy na szkłe i porcelanie. Bronzy francuskie, Delfty i Kryształ artystyczne Baccarat. **Stały napływ nowości. Ceny fabryczne.**

EGZYSTUJE OD ROKU 1858

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH  
EKSTRAKT I KARMELKI

# LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.  
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

FRANCUSKA SZKOŁA KROJU I SZYCIA  
Nowy-Swiat № 42

M-me MÈRCERE

dyplomowanej w Paryżu mistrzyni, system nowy, genre tailleur, mouflage, bielizna.  
Patenty cechowe.

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej

KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

Denaturowany spirytus.  
Spirytus stały w puszkach,  
spirytusowe lampy, palniki,  
kucharki, żelazka i t. p.  
B. CIA WIŚNIEWSKI i S-ka  
Foksal-18, Telefon 3039.

Koncesjonowana przez c. k. Namiestnictwo

SZKOŁA MALARSTWA

(DLA MĘŻCZYŹN I KOBIET)

Leonarda Stroynowskiego

W KRAKOWIE.

Gołębia Nr 14.

ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO

BÓG WOJNY

(Napoleon w Warszawie. Rok 1812), dramat  
w jednym akcie. Cena rb. 1.35. Do na-  
bycia we wszystkich księgarniach. Skład  
główny u Gebethnera i Wolffa. Tamże

CAR DYMTR JOANNOWICZ

Cena rub. 2 kop. 40.

LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 671

J. MIECZKOWSKI, Fotografia  
Marszałkowska III. Telefon 16.81.



Słynna ze swych własno-  
ści aromatycznych, właści-  
wych substancjom roślin-  
nym, służącym do jej przy-  
gotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

FORTEPIANY,  
PIANINA, PIANOLE,  
ORGANY,  
MELODYKONY



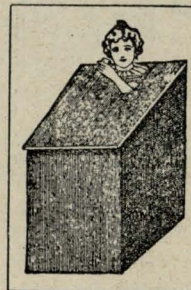
GEBETHNER i WOLFF

Warszawa, Krak.-Przed. 17

LECZNICA DLA DZIECI

D-ra Juliana Gawrońskiego

Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),  
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11  
rano. Porada 50 kop.



Łażnia

parowa pokojo-  
wa składana, dla  
artretyków, reu-  
matyków i ka-  
taralnych

Niezbędny środek

poleca.

J. ROKICKI i S-ka

Warszawa, Nowo-Senatorska № 1.

Cenniki gratis.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprze-  
daż obrazów najznakomitszych artystów  
polskich. Salon otwarty codziennie od 10  
do 1 i od 2 do 5.

MAŁECKI



Fabryka  
Fortepianów  
i Pianin

PIĘKNA Nr 1 (róg Alei  
Ujazdowskiej) tel. 170,65.

Dr. I. Wapiński

ord. klin. szpitala  
świętego Łazarza  
Nowosenatorska 10. Telefon 942. Choroby  
skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**  
Browaru  
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

MIŁUJĄCYM ZDROWIE! poleca:  
Okulary i Binokle z najlepszymi  
szkłami, wzrok wzmacniającymi po  
rb. 1.20, Mikrofony dla głuchych,  
Oliwa usuwająca szum uszny flakon  
rb. 1.50, Bandaże elektryczne  
usuwiają rupturę, nie krępują ruchów  
od rb. 6, Przepaski higieniczne  
Venus, Diana i poduszeczki dla dam  
od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań  
i panów w **dobrym gatunku.** Cen-  
nik specjalny bezpłatnie, wyłącznie  
w zakładzie **Michała Pik, War-  
szawa, ulica Miodowa Nr 1.**

ODPOWIEDZI.

P. Janinie Smolarkiewiczównie. Wier-  
sze nie nadają się do druku, ale, sądząc  
z tych próbek, pracować warto.

P. Ef—ka. Humoreski Pańskiej za-  
mieścić nie możemy.

M. Z. Wierszyk dość zgrabny, ale dru-  
kować nie możemy.

„X<sup>2</sup>”. Wiersze ładne, forma dość wy-  
robiona, wydrukować jednak nie możemy  
z powodu nawału materiałów.

Autorowi „Z jesiennych zwrotek”  
i „Zmierzchu jesiennego dnia”. Nie możemy  
zamieścić w Tygodniku.

Autorowi wiersza: „Pamięci Deotymy”.  
Nie wydrukujemy.

Autorowi czy autorce wierszy: „Do  
poezyi”, „Rada”, „Po burzy” i „W Alpach”.  
Nie wydrukujemy.

P. Marowi. Nie do druku.

P. Kordyanowi. Z przedstawionych łą-  
skawie wierszy skorzystać nie możemy.

W-ny Rom. Cetkowski. Żądane adre-  
sy: Z. Miłkowski (T. T. Jeż) Zürich V.  
Streulitzstrasse Nr. 31; Wacł. Gąsiorowski,  
Paris XVI, Rue Theophile Gautier Nr. 1;

Ant. Potocki, Warszawa, Jerozolimska 70;  
Lucyan Rydel, w Toniach, p. Zielonki przez  
Kraków, Galicya; Jerzy Żuławski, Zako-  
pane; Adam M-ski (Mańkowski) poczta  
Nieśwież w Dorohowicy; Z. Wasilewski

Śłowo Polskie, Lwów. W Odessie wycho-  
dzi tygodnik *Nowiny Polskie*, redaktorem  
jest adwokat Mioduszeński, w Mińsku pis-  
ma polskiego niema, szczegółowo uwzględ-  
nia sprawy mińskie *Kuryer Liteński*.

Wyrób laboratorium apteki  
Magistra Klawe, Warszawa,  
10 Pl. Św. Aleksandra.

FLYN  
Cena flak.  
rub. 1. **HEMOGEN MAGISTRA KLAWE**

najracjonalniejszy preparat żelaza.

stosowany przy ogólnym osłabie-  
niu, małokrwistości, osł. nerwów ko  
i u rekonwalescent. każdego wieku. **Uznany przez powagi lekarskie, ja-  
dzielny środek krwiotwór-  
czy i pobudzający apetyt.**

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn Krakowskie Przedmieście **№ 15** dom Hrabiego J, Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk P'otra Łarkawera i S-ki, Warszawa